WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ



№ 33—34. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 17 i 24 Sierpnia 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.75, kwartalnie: Mk. 8.25, półrocznie: Mk. 16.50, rocznie: Mk. 33.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.90; ogłoszenia zwycz. 80 f. „Nadesłane" Mk. 3.15, margines Mk. 22.50. Kolumna Mk. 450. Załączniki Mk. 50 za tys.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 85.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 38, półrocznie: Mk. 19, kwartalnie Mk. 9.50.
W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.
W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17 i Zastępstwo ul. Retoryka I.
We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchstaba — ul. Karola Ludwika 21.

JULJA KISIELEWSKA (J. OKSZA).

CHEŁMSZCZYZNA.

Unja a Schyzma. Męczennicy a Hajdamacy.

6)

Tak więc w tym samym Brześciu, który teraz był miejscem przetargów o Podlasie i Chełm—stanął ten akt unji, wiekopomnego dzieła prawdy i miłości,—które niebawem zbroczyć miała obficie na znak i świadectwo prawdzie krew pierwszych męczenników.

W czasie panowania Zygmunta III i Władysława IV na pierwsze miejsce w pracy apostolskiej nad szerzeniem i umocnieniem unji wybijają się trzy nazwiska: metropolity Welamina Rutskiego, św. Józafata Kuncewicza, biskupa Połockiego—i prześladowcy tegoż, nawróconego później na unję, gorliwego jej zwolennika, Melecjusza Smotryckiego.

Obrazy życia i działalności tych wielkich mężów są niesłychanie interesującym przyczynkiem do dziejów rozwoju myśli religijnej i cywilizacji w Polsce.

Welamin Rutski pochodził z rodziny, która za Zygmunta Augusta przybyła do Polski z Moskwy i otrzymała indygenat z nazwiskiem Rutski od wsi Ruta w województwie nowogrodzkiem. W młodości sprzyjał Rutski nauce kalwińskiej, nawrócony przez Jezuitów, chciał przyjąć obrządek łaciński, ale za radą swych mistrzów pozostał przy obrządku ruskim — i udał się do Rzymu na naukę do Kolegjum Greckiego, założonego tam dla unitów. Następnie, po powrocie do kraju wstąpił w Wilnie do klasztoru św. Trójcy, który uchodził za unicki. Duch jednak wśród Bazyljanów był oddany schyzmie—jednego tylko spotkał Rutski w klasztorze tym zakonnika poświęconego idei unji, Józefata Kuncewicza, który tak, jak św. Franciszek z Assyżu porzucił świetną przyszłość w zawodzie kupieckim, majątek zapisywany mu przez opiekuna—dla oddania się zupełnego służbie Bożej. Metropolita Pociej, widząc gorliwość Rutskiego w nauczaniu młodzieży zakonnej zrobił go archimandrytą klasztoru św. Trójcy. Karność zakonna i misje poczęły kwitnąć w zakonie. Gdy po śmierci Pocieja — Rutski został metropolitą — duch utrzymywał się w klasztorze dzięki gorliwości Józefata Kuncewicza, który objął po Rutskim kierownictwo. Oni to dwaj zreformowali Zakon Bazyljański—w duchu gorącej pracy społecznej nad wychowaniem młodzieży. Bazyljanie zreformowani krzewili gorliwie oświatę i dostarczali cerkwi ruskiej znakomitych, uczonych kapłanów. Kongregacja tak się rozrosła, że w czasie I-go rozbioru Polski liczyła 250 klasztorów.

Dziełem Rutskiego było zamianowanie św. Józefata na biskupstwo połockie. Na tem stanowisku rozwinął święty apostoł niezmordowaną działalność pasterską, która jednakże znalazła przeciwdziałanie w tajnej agitacji schyzmatyckiej. Przybył mianowicie do Kijowa niejaki Teofan, Grek—i powyświęcał na djecezje przez unitów obsadzone—innych schyzmatyckich biskupów. Takim był dla djecezji połockiej najzdolniejszy z uczniów Teofana, Melecy Smotrycki. Ten, wyklęty przez kościół unicki—musiał przez swych agitatorów tak podburzyć lud w Witebsku na prawego arcybiskupa, że rozruchy stawały się groźne dla jego życia. Radzono św. Józefatowi ucieczkę. Odparł, że pasterz nie może opuszczać owczarni. Dnia 12 listopada 1623 r. wielki tłum zbrojny, nachodzi pałac arcybiskupi, wyrąbuje drzwi, bije i rani służbę. Arcybiskup wyszedłszy z swego pokoju odzywa się do zbójców: „Synaczkowie moi, jeżeli co macie do mnie, otom w ręku waszym—dlaczego tak bijecie służbę moją". I złożywszy ręce na krzyż — oddaje się im w ręce. Siepacze osłupieli. Wtem z boku wpada dwóch świeżych—jeden z kijem, drugi z siekierą, rzucają się na dostojnego pasterza—powalają na ziemię i, zamordowawszy wloką w dzikim szale, pastwiąc się nad ciałem do Dźwiny.

Oto już mamy pierwsze zestawienie,—które nam przedstawia—jak działa na dusze unja—a jak schyzma. I odtąd zawsze—podniosłość ducha, wielki zapał apostolski, gotowość męczeńska—wysubtelnienie prostych dusz do pojęcia najgłębszych prawd religijnych — to unja, — podstęp, chytrość, zezwierzęcenie tłumów, dzika chęć pastwienia się nad bezbronną ofiarą—to schyzma. Po przeprowadzonem śledztwie witebszczanie zostali ukarani—głównych morderców i podżegaczy stracono.

Krew męczennika wydała dla unji obfite owoce. Zaraz po morderstwie — rozbestwiony lud—oprzytomniał—piątego dnia znaleziono ciało zamordowanego arcypasterza,—lud, który był sprawcą mordu, teraz z jękiem i płaczem garnął się do zwłok, które w cerkwi ku czci publicznej wystawiono. Połodczanie upomnieli się o wydanie im ciała męczennika i z wielką uroczystością pochowali w swym grodzie. Tłumne nawracania do unji—były bezpośrednim skutkiem. — Połock i Witebsk — wróciły do unji. „Rozweseliła się ziemia ruska—pisze metropolita Rutski do stolicy Apostolskiej. Gdy pierwej spiekła była i bezpłodna—zrosiła ją krew, którą schyzmatycy przez nienawiść unji św. i wiary katolickiej wytoczyli". Beatyfikacja męczennika witebskiego nastąpiła w 1645 ro-

ku—a kanonizacja za Piusa IX-go w 1867 roku.

Najszczególniejszem zdarzeniem było po śmierci św. Józefata nawrócenie się na drodze filozoficznych i teologicznych rozmyślań, najzawziętszego jego wroga Melecego Smotryckiego, tego, którego podburzania pociągnęły lud do zbrodni. Uszedłszy do Carogrodu i Jerozolimy—Smotrycki począł rozmyślać nad zagadnieniami wiary—i wróciwszy do kraju stał się gorliwym krzewicielem unji, mimo prześladowań, jakich mu nie szczędzili dawni współwyznawcy—a zwłaszcza Job Borecki, metropolita kijowski i Piotr Mohiła—słynny później fundator kijowskiej akademji mohilańskiej. Smotrycki, otrzymawszy opactwo dermańskie pod opieką Rutskiego napisał wiele świetnych rozpraw apologetycznych w obronie unji, i tem oddał sprawie ogromną usługę.

Niezmiernie interesujący jest w tych czasach stosunek do unji rządu Rzeczpospolitej i kościoła obrządku rzymskiego w Polsce.

Gdy się weźmie pod uwagę cały szereg faktów, to najwyraźniej rzuca się w oczy, że unja nie doznawała oficjalnie żadnego poparcia.—Duchowni rozkrzewiający unję nie otrzymali żadnych przywilejów: nie dopuszczono ich do senatu przez zawistną małoduszność; przy ceremonjach wspólnych wyznaczano dostojnikom unickim niższe miejsca. Tak np. że metropolita unicki musiał dawać pierwszeństwo biskupowi sufraganowi obrządku łacińskiego. Mimo tych licznych upokorzeń—a więc nie dla karjery, nie dla przywilejów i żądzy władzy oddawali się apostołowie unji na jej służbę z całem zaparciem, z gorącością żarliwą pierwszych chrześcian. Jeżeli z punktu widzenia politycznego, musimy tę bezparcjalność rządu polskiego wobec unji i schyzmy, uważać za zbyt daleko może sięgającą, gdyż nawet najuczciwszych zaniedbującą środków,—to ze względu religijnego musimy się cieszyć, że nie ziemskie pobudki, nie wyrachowania polityczne, ani widoki karjery, ale wprost rozpalony do żywego duch prozelityzmu przebija w działalności tych bohaterów, jakich unja wydała. Takich ludzi jak Hipacy Pociej, Welamin Rutski, św. Józafat Kuncewicz stwarza wiara. Wobec świadectw prawdy historycznej, jakże liche, mizerne, kłamliwe są te wywody prawosławia, które streściły się w napisie na medalu bitym na cześć zniesienia unji w 1839 roku: „Oderwani przemocą — przyłączeni miłością“.

Za jeden z dowodów owego „przymusu“, owej „przemocy“ polskiej podaje Rosjanin, piszący w 1805 roku o unji w Polsce—sfałszowany tekst listu Lwa Sapiehy, kanclerza litewskiego, do Józefata Kuncewicza. List ten jednak zarówno w tej sfałszowanej redakcji, jak i z autentycznej, którą podał Linde na końcu Statutu litewskiego jest raczej jaskrawym dowodem, że najwyższy przedstawiciel polskiego rządu, kierował się w swej polityce wyznaniowej tolerancją niesłychanie szeroką, powiedzieć można zupełnie nowoczesną i nietylko nie odrywał od schyzmatyckiego Kościoła „przemocą“, ale wprost przeciwnie w sposób stanowczy i twardy występował przeciw zagorzałemu prozelityzmowi biskupa połockiego. Jeżeli więc były w tłumie wyznaniowe nienawiści,—to one wbrew i przeciw woli rządu powstawały żywiołowo; jeżeli było odbieranie sobie cerkwi, lub zamykanie tychże dla wyznawców przeciwnego wyznania — to nie z woli i z wiedzą polskich magistratur, ale jako wynik gorliwości apostolskiej, która tak wybitnego dygnitarza, jak arcybiskup połocki narażała na bardzo ostre i cierpkie wymówki ze strony kanclerza.

W jednem miejscu tonem rozkazującym i energicznym domaga się oddania schyzmatykom zamkniętych przez biskupa i zapieczętowanych cerkwi w Mohylowie. „A toż i tych cerkwi w Mohylowie każe Król Jegomość odemknąć, odpieczętować i ustąpić, co ja z rozkazania JKMości do Wści piszę, czego jeśli Waść upomniony uczyniénie (ze)chcesz, ja z rozkazania JKMości rozkażę rozpieczętować i ustąpić, aby oni to swoje nabożeństwo choć schyzmatyckie w Cerkwiach odprawowali. Żydom, Tatarom nie bronię w państwach Króla JMci bóżnic, a Wmość chrześcijanom pieczętujesz cerkwie, skąd już takie słowa do mów idą, że się wolą Turkowi poganinowi poddać, niż taką opresję na sumieniach swoich cierpieć“. List cały, pisany w uniesieniu jest zarazem niezmiernie głęboką i kunsztowną apologją wolności wyznania. I jako taki—służyć może za dowód, jak za czasów króla Zygmuta III, uchodzącego za fanatyka, występuje kanclerz oficjalnie przeciw nietolerancji—w obronie tej schyzmy, która w parę set lat później jakże innych używa sposobów, jakże silnego doznaje od rządu swego poparcia, aby „miłościwie“ nawrócić zbłąkane owce.

(D. c. n.).



Małżeństwo i wojna.



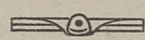
Kwestya małżeństwa nabiera obecnie specyalnego znaczenia, ze względu na potomstwo, które jest właściwym celem małżeństwa. Nadzwyczajna śmiertelność dzieci, grożąca krajowi znacznem zmniejszeniem się liczby ludności, wzbudza poważne obawy co do przyszłości kraju, liczba bowiem zawieranych małżeństw zmniejszyła się w ostatnich czasach znacznie. Niesłychana drożyzna, bieda i nędza w szerokich warstwach społeczeństwa, czarna troska o jutro, zniechęcają do zawierania związków małżeńskich, nakładających na jednostkę nowe kłopoty i ciężary. Ubytek więc ludności górować musi nad przyrostem, co pozwala nam stawiać najsmutniejsze horoskopy na przyszłość. Zaznaczyć jednak muszę, że jak z jednej strony zmniejsza się znacznie liczba zawieranych małżeństw, tak z drugiej strony kwitnie w najlepsze flirt, wolna miłość, przelotne stosunki, nie nakładające żadnych ciężarów i obowiązków, które każdej chwili zerwać można, gdy stają się niedogodnymi. Obniża się przez to poziom obyczajności, cierpi moralność młodzieży, na którą liczymy, że ona swymi wysiłkami, swym entuzyazmem i polotem umysłu, przyczyni się głównie do odbudowy kraju. Potrzebujemy krwi młodej, potrzebujemy tego nowego ożywczego soku, któryby na nieszczęśliwej ziemi naszej sprowadził cudowną wiosnę, pełną ożywczej siły, któryby wytworzył nowe a potężne ideały. Potrzebujemy młodzieży zdolnej umrzeć za ojczyznę, zdolnej do bohaterskich porywów, a taką młodzież rodzić i wychowywać powinna dzielna kobieta polska, ona to w obecnej ciężkiej chwili powinna dać krajowi zdrowych chłopców i wychować ich na bohaterów, zdolnych życie oddać za ojczyznę. Droga do wolności nie prowadzi przez rozkosze, ale przez walkę i cierpienie. Zatracaliśmy powoli nasze ideały samodzielności i niepodległości, duch obniżał się ku ziemi, ogarnęła nas wszystkich żądza używania, a małżeństwa zawierane były tylko z interesu, nie z miłości, która jest podstawą moralną każdego związku. Żenimy się, przecież nie tylko dla wspólnej radości, a i dla wspólnego cierpienia, które znosić pozwala nam jedyna cudotwórcza, prawdziwa miłość. Doświadczenie i obserwacya wykazują, że tylko z małżeństw zawieranych z miłości, rodzą się silne i zdrowe dzieci, i co najważniejsza chłopcy, których kraj nasz tak potrzebuje z powodu przewagi kobiet. Miłość jest tą niespożytą siłą, która daje zdrowie i polot potomstwu. Uczony niemiecki. prof. Vaerting zwraca uwagę na niezmiernie ciekawy fakt, że z małżeństw zawieranych bez miłości, rodzą się wątłe, słabowite dzieci i przeważnie dziewczęta. Słusznie zupełnie o silnych i zdrowych dzieciach mówimy, że są to dzieci miłości. Dawniej, zwłaszcza Niemcy, podziwiali nadzwyczajną płodność kobiet polskich, wogóle słowiańskich, twierdząc, że to silne rozradzanie się narodów słowiańskich zagraża przyszłości Niemiec. Dzisiaj ta wychwalana płodność kobiet polskich zmniejszyła się, bo ogólnie zapanował zgubny system posiadania tylko jednego lub co najwyżej dwojga dzieci. Oprócz tak poważnych względów jak zdrowe rozmnażanie się, małżeństwo tworzy wzajemne dopełnianie się, w małżeństwe wykształca się właśnie owa biegunowość płci, i to zarówno u mężczyzny, jak i u kobiety. Za małżeństwami, zawieranemi bez miłości, ale jedynie tylko dla interesu, snują się jak cień rozwody i ohydny wrzód na ciele społeczeństwa—prostytucya. Wspólność małżeńska, wzajemne pożycie, mogą opierać się tylko na najpodnioślejszem uczuciu i ono jedynie łączy i rozdziela małżonków. Normalnie jednak z tego związku powstają obowiązki, i im silniejszym i czulszym był związek, łączący kobietę z mężczyzną, tem ważniejszym staje się ich wzajemny względem siebie obowiązek. Jest to wielkie moralne zobowiązanie na całe życie. Kościół katolicki podnosi też małżeństwo do godności sakramentu, uznaje jego nierozerwalność, i łączy z niem chrzest sakramentalny noworodka. W rzeczywistości wszystkie formy tak zwanej wolnej miłości, torują tylko drogę do prostytucyi;

jest ona normalnym końcem owej wolnej miłości i zazwyczaj w ten sposób kończy się dla kobiet. Powiedziałem już, że w małżeństwe wykształca się osobistość, człowiek uczy się przystosowywać się do drugiej osoby, rezygnuje do pewnego stopnia z własnych czysto egoistycznych zachcianek i upodobań i szuka własnego szczęścia w szczęściu drugiej osoby. I dla tego to małżeństwo jest potężnym czynnikiem wychowawczym i źródłem ciągłego moralnego doskonalenia się. Żądania współczesnych kobiet zupełnej czystości od mężczyzny przy zawieraniu związków małżeńskich są najzupełniej słuszne, a żądania te potwierdza zarówno hygiena, jak i etyka. Musimy stanowczo wymagać, by młodzież czysta i niezużyta wstępowała w związki małżeńskie. Czystość obyczajów, wstrzemięźliwość i panowanie nad popędami zmysłowymi obowiązują człowieka przez całe życie. W obecnych, tak ciężkich chwilach wojny młodzież nasza, niestety, schodzi na manowce, trwoniąc lekkomyślnie siły na przelotne stosunki, nie pamiętając o tem, że siły te należy oszczędzać, aby je wydać na wielkie i święte cele życia. Ale aby te usprawiedliwione żądania w czyn weszły, należałoby zmienić radykalnie współczesny kierunek wychowania, dążącego przedewszystkiem do rozwoju intellektualizmu a zaniedbującego stronę fizyczną, należałoby wykreślić z życia młodzieży wszelkie sztuczne podniety, pobudzające przedwcześnie sferę zmysłową, zwrócić ją do przyrody i wpajać przekonanie, że dla moralnego postępu ludzkości koniecznym jest wysoki stopień czystości w młodości. Racyonalne wychowanie młodzieży, owego kwiatu i przyszłości narodu, możliwem jest tylko w rodzinie, w której rodzice przyświecają przykładem czystości obyczajów. Zdolność do panowania nad samym sobą, do poskramiania swoich popędów i namiętności jest najpierwszym warunkiem dla każdego normalnego małżeństwa. Sztuka panowania nad sobą musi być nabyta przed zawarciem małżeństwa, w przeciwnym razie małżeństwo już odrazu ulega rozprzężeniu, i jak pouczają cyfry statystyczne rozwodów, małżeństwa rozchodzą się w pierwszych latach. Jestem w zgodzie ze wszystkimi najlepszymi obserwatorami i badaczami, gdy twierdzę, że małżeństwo jest najpotężniejszym i najskuteczniejszym czynnikiem nie tylko zapobiegania, ale i leczenia wielu błędów moralnych. Posiada ono niewątpliwie znaczenie pedagogiczne, nietylko w kierunku samowychowywania, ale i wzajemnego wychowywania się. Małżeństwo, mówimy ciągle o małżeństwie z miłości, uszlachetnia i podnosi całą istotę człowieka. Małżeństwo nawet i w obecnych ciężkich warunkach życia jest siłą dla wytworzenia i rozwoju podniosłych uczuć altruistycznych, dla wyćwiczenia siły woli, wyrobienia umysłu i charakteru człowieka. Małżeństwo wymaga panowania nad sobą, tego tak cennego przymiotu w człowieku, przystosowywania się do upodobań drugiej osoby, uwzględnienia jej stanu nerwowego, nastroju umysłu, uczy delikatności i subtelnego odczuwania drgnień duszy ludzkiej. To pedagogiczno-etyczne znaczenie posiada małżeństwo dla obu stron, a dla kobiety, że się tak wyrażę, przynosi doskonały, zupełny rozwój tak fizycznej jak i moralnej istoty. Fizyologiczne warunki pożycia małżeńskiego, i macierzyństwo, działają na zdolną do rozwoju duszę kobiecą jako potężnie pobudzający bodziec, brak którego wywołuje często wadliwe wyrobienie charakteru i uczuć. Przy najszerszem, słusznem dopominaniu się o prawa jako człowiek-kobieta, musi pamiętać jednak o tem, że ma do spełnienia obowiązki tak wielkie i święte, jakie w podziale pracy włożyła na nią przyroda.

Mimo wszelkich dążeń kobiety do samodzielności, niepodległości i zajmowania stanowiska w społeczeństwie równego mężczyźnie, zaznaczyć należy, iż właśnie tak poważne obowiązki i zadania, jakie kobieta ma do spełnienia w małżeństwie, jeżeli są tylko właściwie pojęte i przeprowadzone, otwierają uzdolnieniu kobiety jak najszersze pole do działania. Aczkolwiek zaprzeczyć się nie da, iż fizyczna strona związków małżeńskich połączona jest z pewnemi nieprzyjemnościami i ofiarami, to dla kobiet o głębszym umyśle i podnioślejszem uczuciu wystarczy refleksya, że są to ofiary, które każdy złożyć musi dla dobra rodziny, społeczeństwa i kraju. Ale w ten tylko sposób kobieta staje się rzeczywiście użytecznym członkiem społeczeństwa, przykłada się czynnie do jego rozwoju i postępu, a w nagrodę za te trudy i mozoły, poniesione koło wychowania własnego dziecka, otwiera się dla niej przeczyste źródło rozkoszy, podniosłego zadowolenia, otwiera się pole do prawdziwie kulturalnej pracy twórczej, do spełnienia której potrzeba niewątpliwie poważnego przygotowania umysłu i serca. Praca wspólna z mężczyzną dla osiągnięcia wielkich celów i ideałów życia, przypinanie mu skrzydeł do ramion, gdy polot obniżać się zaczyna, roztaczanie atmosfery piękna w rodzinie, racyonalne wychowanie potomstwa, oto cele wielkie i święte kobiety w małżeństwie, dla godnego spełnienia których potrzeba ciągłej wytrwałej pracy nad sobą, ciągłego kształcenia się i doskonalenia. I w obecnych choć tak ciężkich czasach wojennych, ludzie młodzi i zdrowi, mający chociażby średnie utrzymanie, nie powinni zwlekać z zawieraniem związków małżeńskich, gdy czarodziejka miłość weźmie ich w swoje nieograniczone posiadanie i wskaże właściwą drogę życia. Trzeba dziś poprzestać na małem, szczęścia własnego szukać w szczęściu drugich, miłość prawdziwa przypnie skrzydła do ramion i przezwycięży wszelkie trudności.

Prawo do żenienia się mają ludzie młodzi i zdrowi. Ludziom starym i chorym prawo powinno zabraniać związków małżeńskich. Wczesne zawieranie związków małżeńskich podnosi poziom moralności w kraju, przyczyni się do odrodzenia narodu i zmniejsza prostytucyę. Sądzę, że ludzi młodych, zawierających wcześnie związki małżeńskie, przyszłe państwo polskie uwolniłoby od wielu podatków skarbowych. Wychowaniem dzieci rodzin niezamożnych powinno zająć się państwo. Kobiety przygotowywane zawodowo mogą pracować do pewnego czasu i po pewnym czasie wspólnie z mężczyzną. Już przeszły czasy, gdy kobieta była pustą lalką i ciężarem wyczerpanemu pracą mężczyźnie. Równość płci pociąga za sobą równość obowiązków. Skromność, poprzestawanie na małem, prostota i unikanie wszelkiej próżności powinny zapanować w ogniskach rodzinnych. Przed zawarciem związków małżeńskich obydwie strony powinny przedstawić świadectwo lekarskie, że są wolne od choroby zaraźliwej, udzielającej się również potomstwu. Jest to sprawa bardzo ważna, a tak niestety u nas lekceważona. Dla tego to separacye, rozwody są na porządku dziennym. Przed zawarciem związku małżeńskiego strony powinny dokładnie wzajemnie się poznać, właściwości umysłu i charakteru grają tutaj pierwszorzędną rolę. Osoby bardzo nerwowe nie są odpowiednie do zawierania związków małżeńskieh, rzadko kiedy wnoszą szczęście do rodziny. Mężczyzna nerwowy jest słaby, chwiejny i zmienny. O najpoważniejszych sprawach decyduje często kaprys, a kobieta nerwowa nie może sprostać tak ważnym obowiązkom gospodyni domu i wychowawczyni młodego pokolenia, wskutek tego czego wychowanie i prawidłowy rozwój potomstwa w wysokim stopniu cierpieć muszą. Mąż czyni wyrzuty żonie z powodu lekceważenia tak ważnych obowiązków gospodyni domu i matki, powstaje chroniczny stan podrażnienia i niezadowolenia między małżonkami, a mąż nie znajdując upragnionego spokoju i szczęścia w domu, szuka ich po za domem. W ten to sposób otwiera i toruje się droga do niewierności małżeńskiej, a brak harmonijnego pożycia małżonków jest najgorszym przykładem dla dzieci. Niech matki polskie pamiętają, że w ich rękach spoczywa przyszłość.

Dr. Władysław Chodecki.



„OCHRONA KOBIET".



Powiedział mi w tych dniach jeden z lekarzy, pracą swoją związany z działalnością Ochrony Kobiet: „Tak się od jakiegoś czasu słyszy często słowa: „Ochrona Kobiet" — tak się na nią ogląda w chwilach walki z nędzą i niedolą ludzką, a tak mało kto zna historyę powstania tego stowarzyszenia—jego cele—zadania i skalę działalności". Słowa te popchnęły mnie do skreślenia krótkiego rysu, któryby właśnie odpowiedział na powyższe pytania.

Pierwszym zawiązkiem tej silnej organizacyi samopomocy kobiecej, jaką jest „Ochrona Kobiet" było powstałe we Fryburgu czterdzieści lat temu stowarzyszenie protestanckie pod nazwą: „Les amies de la jeune fille", które otaczało opieką młode szwajcarskie dziewczęta protestanckie, przyjeżdżające w charakterze bon i nauczycielek na Węgry i do Rosyi. 22 września 1896 roku również we Fryburgu dzięki inicyatywie p. Leona Génoud i pani de

Reynold, przy pomocy p. baronowej de Montenach tworzy się: „L'oeuvre catholique suisse de la protection de la jeune fille“ o charakterze internacyonalnym, a rozwija się tak szybko i tak szerokiem korytem, że fale jego niezadługo ogarniają całą środkową Europę. W sierpniu w 1897 r. urządza kongres, w którym udział przyjmują luminarze i powagi społeczne najoświeceńszych stolic europejskich. Na tym kongresie członkiniom stowarzyszenia przyznano prawo noszenia znaku honorowego i opaski na ramieniu w kolorach białym i żółtym. Odtąd biało-słoneczna wstęga opasuje świat cały, budząc swą działalnością cześć u wszystkich narodów cywilizowanych. We wszystkich krajach tworzą się pod jej godłem placówki, które wydawnictwami peryodycznemi lub za pomocą zjazdów-kongresów utrzymują łączność między sobą i kroczą jedną linią wytyczną.

U nas w Polsce w 1900 roku powołał do życia „Ochronę Kobiet“ dziwnym trafem również mężczyzna hr. Gustaw Przezdziecki, twórca Pogotowia Ratunkowego.

A teraz kierunek działalności i cele Ochrony Kobiet? Najzupełniej mylą się ci, którzy sądzą, że Ochrona Kobiet wydała walkę mężczyznom. Dalekie od oręża sufrażystek walczymy z cierpieniem tylko — szczęśliwe, gdy uda nam się choć jedną łzę otrzeć, jednemu sercu ulgę przynieść — nad wyraz dumne, gdy zdołamy jedną duszę uratować od zatraty moralnej. W myśl poety, że „biada człowiekowu samemu, lecz stokroć biada samotnej kobiecie“, Ochrona Kobiet opieką otacza kobiety — szczególniej młode i dzieci nieletnie, których dola tak silnie spojona z losem ich matek.

Działalności Ochrony Kobiet niewolno krępować partyjnością. Ojczyzną tego wielkiego Arcybractwa—Ludzkość! Każdą niedolę, każdy błąd ujmuje żelazną dłonią o aksamitnem dotknięciu, a umysłem prostolinijnym — nie czułostkowym rozeznaje każdą krzywdę. Jeżeli działalność Ochrony Kobiet była błogosławiona w czasach normalnych, to przy surmach wojennych stała się wprost opatrznościową, a rozwijała się i w kadrach sanitarnych i wszędzie, gdzie łzy, klęskę lub upadek moralny zmora wojenna sprowadzała.

Polskiej Ochrony Kobiet zasługą narodową było, że na zjazdach i Kongresach europejskich zaznaczała mocno jednolitość wszystkich trzech zaborów. Warszawa — Kraków, Lwów—Poznań, to główne arterye, a filie: w Częstochowie, Sosnowcu, Radomiu, Włocławku, Płocku, Lublinie, Kielcach, Żyrardowie i Tomaszowie Rawskim.

O skali działalności warszawskiej chrześcijańskiej Ochrony Kobiet powie nam najlepiej sprawozdanie odczytane na ogólnem zebraniu (bardzo licznem) w dniu 19 czerwca bieżącego roku odbytem, wgmachu własnym Towarzystwa przy ulicy Mokotowskiej 55. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że działalność Ochrony Kobiet rozwijała się w dwóch zasadniczych kierunkach: ratowniczym i umoralniająco-oświatowym, a ciężkie warunki materyalne, które w czwartym roku wojny odczuwają wszystkie instytucye filantropijne— w Ochronie Kobiet zaznaczyły się tylko pewnem scentralizowaniem poszczególnych sekcyi bez uszczerbku dla całokształtu działalności. Centralizacya ta np. zjednoczyła trzy oddzielne schroniska czasowe w jedną instytucję pod nazwą: „Bursy imienia Sienkiewicza“ a szwalnię przyłączyła do hotelika i biura pośrednictwa pracy przy ulicy Mazowieckiej № 11.

Kierunek ratowniczy zogniskował się w wydziałach: 1) Pośrednictwa pracy (Mazowiecka № 11), które przez swe biuro dało w bieżącym roku pracę 1500 kobietom; 2) Ochrony kobiety w podróży (Biuro—Włodzimierska № 10). Sekcya ta w roku sprawozdawczym 295 kobietom ewakuowanym ułatwiła powrót do stron rodzinnych, a w hotelikach swoich (Mazowiecka № 11 i Mokotowska № 55) gościła 699 dziewcząt przyjezdnych, poszukujących pracy.

3) Opieka nad nieletniemi w zakładzie dla dzieci o złych skłonnościach w Piasecznie, utrzymywała stale 25 dziewczynek, a prócz tego zaopiekowała się 52 dziewczątkami; 4) Kuchnia przy ulicy Mokotowskiej № 55 wydała przez ten rok 97,965 porcyi bezpłatnych, przeważnie kształcącym się dziewczynom młodym, w tym też roku otwarto nową kuchnię przy hoteliku na Mazowieckiej № 11. Na Sewerynowie № 14, pod egidą Towarzystwa Ochrony Kobiet przy schronisku dla służących bez pracy, istnieje również wzorowa jadłodajnia, znana w sferze inteligentów—samotników; 5) Herbaciarnie przy ulicy Zgoda № 4 i Złotej № 2, wydały w ciągu tego roku porcyi bezpłatnych uczącej się młodzieży i zubożałej inteligencyi 14,600, a za skromną opłata 35 f., prócz herbaty i mleka, gorących posiłków rozdano za sumę 193,059 marek 37 f. Prócz tego 20 osobom z ofiar wojny daje herbaciarnia u siebie pracę zarobkową; 6) Przy ulicy Siennej № 33 jest szkoła zawodowa praczek i pralnia Ochrony Kobiet z kantorami Nowowiejska № 18 i Chmielna № 18. Myśl przewodnia tego przedsiębiorstwa nie zyski ma na celu, a możność zatrudnienia zarobkowo jaknajwiększej ilości rąk. Ten sam cel ma i Szwalnia przy ulicy Mazowieckiej № 11, która głównie istnieje dzięki zamówieniom R. G. O.

7) Wydział Ochrony moralnie zaniedbanych i upadłych w „Przystani“ swojej w Wierzbnie miał przez ten rok 218 dziewcząt, z których 49 odrodzonych moralnie dostało pracę zarobkową—66 wróciło poprawionych do rodziny — reszta pozostała w zakładzie jeszcze, gdzie warsztaty rękodzielnicze, nauka gospodarstwa domowego i popularne wykłady tworzą z tych kwiatów, zwarzonych szronem niedoli i grzechu—pożyteczne siły społeczne.

8) Walka z ostatecznym upadkiem w osobie pań inspektorek ratuszowych uratowała 522 kobiety — przeważnie ofiary wojny, które nie umiały znieść z bohaterską godnością nędzy własnej i głodu rodziny; 9) Przystanie Okręgowe ratowały niedolę kobiet i dzieci małoletnich, przez ten rok dały pomoc 1,134 jednostkom; 10) Sekcya szpitalna jak i lat poprzednich otaczała opieką swoją wychodzące ze szpitali bezdomne, chorym niosła ulgę moralną, a w dwóch szpitalach wprowadziła kursy dla analfabetów, tak dla chorych-rekonwalescentów jak i dla służby z pogadankami historycznemi i przyrodniczemi.

11) Najmłodsza, a już zasłużona Sekcya sądowa w osobie swoich delegatek okrywała płaszczem protektoratu nieletnie przestępczynie, które sąd chętnie im oddawał, wiedząc, że to nie bezkarność a tylko wysoki rozum pedagogiczny, który przewiduje, że w więzieniu zmarnieją te złamane latorośle, a opieka Ochrony Kobiet wróci je odrodzone społeczeństwu.

W czasie referatu sekcyi sądowej w dniu 19 czerwca p. sędzia Brześciański zaznacza, że Ministeryum Sprawiedliwości, tak w więziennictwie jak i w sądach nad nieletniemi — Towarzystwu Ochrony Kobiet w przyszłości ważny udział przyznać pragnie.

Kierunek umoralniająco - kulturalny w działalności Ochrony Kobiet zogniskował się w Sekcyach: 1) Ognisk domowych, które przez ten rok przytuliły nn Mokotowskiej № 55, Boduena 1 i Sewerynowie № 14 — 766 młodych dziewczyn, kształcących się w różnych zawodach — prócz tego Bursa imienia Sienkiewicza na Polnej № 40 miała stale 63 wychowanki.

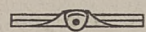
2) Pięć kół parafialnych, które trzeci rok otaczają opieką odpoczynki niedzielne młodych pracownic, urządzając dla nich odczyty z przezroczami, lekcye śpiewu, gimnastyki, koncerty popularne i wycieczki zamiejskie, miało w tym roku członkiń 250 w wieku od 14-stu do 30-tu lat. Koła: Nawiedzenia N. M. P. (Nowe Miasto) i Ś-tej Trójcy (Ludna № 1) wprowadziły w roku bieżącym systematyczny kurs nauk, a Ś-tej Trójcy założyło szwalnię, w której członkinie pozbawione pracy znajdują zarobek. Przy kołach parafialnych są wypożyczalnie książek, a opieką swoją działalność kół otacza Polska Macierz szkolna Koła towarzystwa Ochrony Kobiet, która urządzała w tym roku odczyty w sali Seminaryum na Sewerynowie № 5.

Koroną działalności Warszawskiej Ochrony Kobiet jest Seminaryum dla nauczycielek ludowych z kursem trzyletnim i wzorówką trzechoddziałową, którą miasto oddało do użytku Seminaryum na szkołę ćwiczeń. Uczennic w roku sprawozdawczym było w Seminaryum 90, z tych 26 dyplomowanych, w dniu 29 czerwca Ochrona Kobiet żegnała, wysyłając między lud, (jedną aż w Grodzieńskie), aby jak młode apostołki prawdy — dobra i piękna z godłem Ochrony Kobiet szły linią jej ideałów, aby jak promienie jej serca rozjaśniły i ogrzały chaty bielone i izby fabryczne, — broniły je przed pokusami złego losu — podszeptami fałszywych proroków, chcących spaczyć zdrową myśl polskiego ludu. Aby jako pionierki rozumnej hygieny wytłomaczyły wieśniakom naszym, że czystość i piękno, to nie przywilej możnych a obowiązek każdej jednostki względem własnego zdrowia i własnej duszy.

Kończąc ten rys sprawozdawczy działalności Warszawskiej Ochrony Kobiet, ślę jej życzenie jaknajszerszego rozwoju, aby to wielkie Koło samopomocy kobiecej

opasało kraj cały żywym różańcem serc dzielnych i podniosłych, któreby każdym czynem swoim wołały „Sursum corda“.

Wanda Idzikowska.



FRANCISZEK BRZEZIŃSKI.

Zasadnicza reforma wykształcenia muzycznego.

(DOKOŃCZENIE).

Otóż chodzi o to, aby zamiast tego zastępu ludzi zgorzkniałych, przeważnie skazanych na przykrą pracę i nędzne warunki życia, a w dodatku niepożytecznych i nawet poniekąd szkodliwych dla społeczeństwa, wychodził ze szkół muzycznych zastęp pedagogów, mających do spełnienia bardzo wdzięczne i bardzo pożyteczne zadanie: wdzięczne, bo ich lekcye nie będą nieprzyjemne ani dla nich, ani dla uczniów, owszem powinny obu stronom sprawiać prawdziwe zadowolenie; pożyteczne, bo będą pracowali nad podniesieniem kultury artystycznej swego narodu— kto wie, może i kultury moralnej jednocześnie. Będzie to i pod względem materyalnym zadanie dużo wdzięczniejsze, niż dotychczas: inteligentne nauczycielki, które dziś znoszą męczarnie po półtorej marki za godzinę, będą miały wykłady dla liczniejszej grupy uczniów (na t. zw. kompletach) oczywiście za znacznie wyższą zapłatę i bez udręczeń.

Przy dzisiejszym systemie lekcyi muzyki nauczyciele i nauczycielki zaniedbują własny postęp w sztuce, zapominają nawet tego, czego się nauczyli; brak im czasu na własne dalsze studya, a po całodziennem słuchaniu brzdąkania uczniów brak im już i ochoty, aby grać dla siebie; jest to zaiste system wzajemnego zniechęcenia się do muzyki. Dla pedagogów nowego typu lekcye będą ciągłym bodźcem do doskonalenia się w muzyce, tak pod względem technicznym jak i naukowym oraz pedagogicznym. Nauczyciel będzie musiał nieustannie pracować nad sobą, przygotowywać się do wykładów, studyować utwory, które będzie demonstrował uczniom; w miarę własnych postępów w technice fortepianowej, w powiększaniu repertuaru, w znajomości teoryi i historyi muzyki, w umiejętności wykładania będzie mógł awansować jako pedagog, będzie mógł obejmować coraz to wyższe kursy—a więc i coraz lepiej płatne. Taki np. nauczyciel, zaznajamiający słuchaczów z ostatniemi sonatami Beethovena, z najtrudniejszemi dziełami literatury fortepianowej, z utworami muzyki symfonicznej i wokalnej, musi być skończonym mistrzem i odpowiednio do tego wynagradzanym; lekcya jego będzie zarazem koncertem i wykładem uniwersyteckim.

Na razie niewielu chyba znaleźlibyśmy nauczycieli do tego rodzaju wykładów, zwłaszcza jeżeli chodzi o wykłady dla dzieci, gdzie niezbędny jest pewien ład, pewna systematyczność, która tak łatwo zaimprowizować się nie da; nie ma dotychczas nigdzie jakichkolwiek podręczników, nie opracowano nigdzie metod takiego kształcenia. To też praca nad reformą wykształcenia muzycznego powinna się rozpocząć od obmyślenia, opracowania i wydania podręczników dla nauczycieli, od założenia seminaryów dla pedagogów lub utworzenia specyalnych oddziałów pedagogicznych w istniejących szkołach muzycznych; dla tych seminaryów czy oddziałów pedagogicznych trzebaby ułożyć nowy plan nauk i nowe warunki zdawania egzaminów. Ta praca przygotowawcza, ale najważniejsza, bo mająca stworzyć nowe dzieło, dla którego nie ma jeszcze wzorów, powinna być powierzona jakiejś komisyi, złożonej z pedagogów i muzyków teoretycznie wykształconych.

Mam przekonanie, że, o ile się do tego zaraz zabierzemy, to za 2 lub 3 lata będziemy już mieli pierwsze szeregi a wkrótce potem cały zastęp prawdziwych „nauczycieli muzyki“, pod wpływem których w bardzo niedługim przeciągu czasu cały poziom kultury muzycznej naszego społeczeństwa zmieni się do niepoznania. Wrodzonej muzykalności nam nie brak; przez odpowiednie zaś wykształcenie staniemy się społeczeństwem prawdziwie muzykalnem t. j. znającem się na dobrej muzyce, a wówczas nie będziemy potrzebowali szukać i sztucznie popierać (t. j. propagować i protegować) dobrej muzyki, bo ona sama garnąć się do nas będzie i wśród nas rozwijać; nie będziemy potrzebowali plenić złej, bo sama zniknie, jak znika chwast na dobrze uprawionej roli. Cały inteligentny ogół będzie znawcą i krytykiem: dobry smak i wymagania miłośników biernych wpłyną na jakość wykonywanej muzyki, na poziom produkcyi wirtuozów i działalność instytucyi muzycznych, zaś wykształcenie artystyczne miłośników czynnych wpływać będzie na jakość wydawnictw muzycznych, na poziom twórczości muzycznej. Przepaść pomiędzy sztuką i publicznością, o której dziś tak często mówią artyści, przestanie istnieć; zyska na tem niewątpliwie sztuka sama, zyskają artyści i społeczeństwo.

Jeszcze tylko kilka słów na zakończenie. Są ludzie, dla których sprawa kultury artystycznej schodzi na drugi lub nawet na ostatni plan wobec spraw takiej doniosłości, jak sprawy polityczne, ekonomiczne lub społeczne; nie będę się z nimi o porządek hierarchiczny tych spraw sprzeczał: wszystkie są ważne a w pewnych chwilach jedne z nich wysuwają się na pierwszy plan i stają się ważniejszemi od drugich.

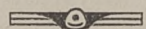
Są jednak ludzie, którzy z rozmaitych względów mogą uważać, że sprawa, którą poruszyłem, nie ma zgoła żadnej wagi dla społeczeństwa, że jest to rzecz zupełnie obojętna, czy się znamy na muzyce lub nie, czy mamy koncerty o lepszych lub gorszych programach, czy ktoś u nas komponuje to lub owo; jednem słowem, że cała ta sprawa nie warta jest jakichkolwiek zabiegów. Nie mówię tu o takim Tołstoju, który odrzucał wszelką wiedzę i sztukę, jako rzeczy niepotrzebne a nawet szkodliwe, który zresztą wszelką troskę o dobro doczesne uważał za rzecz zbyteczną. Odpowiem tylko tym, którzy nie zaprzeczają ludzkości prawa do szczęścia na ziemi i którym to szczęście jaknajwiększej ilości ludzi leży na sercu, że człowiek, odczuwający piękno, a zwłaszcza muzykę, jest przez to szczęśliwszy od innych, doznaje takich wzniosłych rozkoszy, o jakich inni nie mają pojęcia, rozkoszy tem większych i prawdziwszych, im lepiej rozumie piękno, im więcej ma wyrobiony smak; rozszerzając więc zakres swych wiadomości, pomnażając swą zdolność do odczuwania i rozumienia muzyki, każda jednostka wzbogaca znakomicie zakres przyjemności, jakich mu życie może dostarczyć.

Na kulturze artystycznej zyskuje też i kultura moralna czyli obyczajowa społeczeństwa; nic może więcej nie zbliża ludzi do siebie, jak wspólne, bezinteresowne umiłowanie sztuki; we wszystkich prawie innych dziedzinach życia wchodzą w grę: egoizm, ambicja, rywalizacya, zazdrość, walka o byt—czyli to, co ludzi od siebie oddala; w pracy zawodowej, w polityce, w grze, w sporcie—wszędzie jest miejsee na uczucia nieprzyjazne; niema go tylko w bezinteresownem umiłowaniu sztuki. Obcy ludzie, których jednocześnie zachwyca dzieło genialnego twórcy, stwierdzają mimowoli pokrewieństwo swych dusz, uczuwają mimowolną do siebie sympatyę. Najlepsi przyjaciele, jeżeli pokochają tę samą kobietę, ostygają w swem uczuciu przyjaźni; natomiast przy wspólnie umiłowanej muzyce miękną serca przeciwników politycznych, łączą się z sympatyą dłonie ludzi, należących do wrogich sobie narodów. Stąd zapewne powstało wyrażenie, nieraz powtarzane: „sztuka nie ma narodowości“; jest to wyrażenie nieścisłe: owszem, sztuka ma narodowość, a przynajmniej dużo zawdzięcza różnicom narodowościowym; sztuka może nawet łączyć się z patryotyzmem ale nie z nacyonalizmem, to znaczy, że zbliża narody a nie waśni ich.

Francuz zachwyca się Beethovenem, niemiec uwielbia Szekspira, anglik adoptuje Händla, a cały świat, wbrew atlasom geograficznym i gabinetom mocarstw, musiał uznawać, że jest Polska, skoro Chopina polakiem nazywał i właśnie polskość w jego muzyce wielbił. Sztuka ma więc znaczenie moralne nietylko w stosunkach społecznych ale nawet w stosunkach międzynarodowych. Narody zdobywają uznanie i sympatyę innych narodów daleko pewniej i trwalej przez to, co zdziałały na polu wiedzy i sztuki, niż przez siłę i bogactwa; może już niedaleka jest era, w której to uznanie i ta sympatya nie będą uważane za *imponderabilia* polityczne.

To chciałem powiedzieć na obronę tych, którzy nie przestają troszczyć się o sztukę w czasach, kiedy — podług przysłowia łacińskiego—muzy zwykły milknąć. Niechaj to będzie zarazem wytłomaczeniem, dla czego taki nacisk położyłem na reformę wykształcenia muzycznego całego ogółu społeczeństwa. Okoliczność, o któ-

rej wspomniałem na początku, że reformy tej nie wprowadzono dotąd w innych krajach, nie wydaje mi się być dosyć silnym argumentem przeciwko projektowi, który ośmieliłem się przedstawić. Jeżeli myśli, w tym projekcie zawarte, trafią do przekonania znacznej ilości osób, interesujących się naszą kulturą muzyczną, to możeby warto zaryzykować wprowadzenie tych myśli w czyn, nie czekając, aż nas inni w tem uprzedzą i wyprzedzą; może uda nam się tym czynem złożyć jeden dowód więcej, że jesteśmy narodem kulturalnym, nie takim, co tylko cudzą kulturę przyswajać sobie umie, ale co samodzielnie nad własną kulturą pracuje i owoce swej pracy do skarbca kultury powszechnej dorzuca.



Z LISTÓW DO „BLUSZCZU".

Poznań. *Czerwiec-Lipiec.*

I.

„Z miastowymi dzisiaj krucho,
Jeno na wsi jesce dusa,
Co się z fantazyją rusa!"

powiedział ongi Wyspiański, nie przeczuwając bynajmniej jak to z nami, miastowymi, z czasem naprawdę krucho będzie! Kto też mógł, ten uciekł na wieś, odgrzebując wszelkie, choćby najbardziej zapleśniałe i pokostem muzealnego pyłu pokryte pokrewieństwa. Przypomniały się dawno nieodwiedzane ciotki, wujaszkowie, dobrodzieje, wzdychało się do tego, by kuzyni i przyjaciele na szczęśliwy wpadli pomysł zaproszenia nas w pielesze sielskie, anielskie. I tak powoli jeden za drugim ulatniał się z błogim uśmiechem na ustach z dziećmi, z żoną, z siostrą żony, z siostry żony synkiem gimnazistą... i tym podobnym mebelunkiem, a przedewszystkiem z dużemi, pustemi kuferkami i torbami, bo przecież może uda się coś „zhamstrować" na zimę!

Jeden za drugim, jeden za drugim.

Zdarza się, że odwiedzam przyjaciela... W drzwiach służąca z zagiętemi rękawami i podkasana ze szczotką w ręku, ujawszy się butnie pod bok, oświadcza: „Pan wyjechał na *wieś* — a tak!!" a widząc, że głowę spuszczam, dodaje bez litości: „Jaino te porządki strzasnę, to też do krzestnej jadę ...pod Mosinę!! a tak!"—Nacisnąłem kapelusz, rzuciłem coś w rodzaju: — „Mosina to piękne miasto!" i drap po schodach. Lecz z góry dolatuje mnie jeszcze głos, z nad baryery: „ale ja na wieś, na wieś!" Uciekam, czując ścigający mnie Jagusiny chichot. Niech sobie jadą, za przeproszeniem, i do dyabła, cóż mnie to obchodzić może?

Przed tymi, którzy wyruszają na prowincyę, ma się na ogół poważanie i ustępuje im się miejsca na trotuarze, ewentualnie szepcąc: „pamiętaj — jakbyś tam tego, to ja każdą cenę, pamiętaj..." — albo też — „byle nie za drogo, to wiesz, jakbyś mógł..." — to się rozumie! Lecz tym jadącym do wód okazuje się wzgardę.— „Ciekawa jestem, co tam panie będziecie jadły" — świszczy słodko do dwóch drugich dam moja znajoma, która, mając koligacye na wsi, uważa się za coś więcej i nie omieszka akcentować tego na każdym kroku — „hrabina X. jest to przyjaciółka kuzynki męża mojej stryjeczno-cioteczej siostry, przyjaciółka! Hrabina nie miała literalnie co jeść w Kissingen, mówiła kuzynka męża mojej cioteczno-stryjecznej siostry" miało nastąpić: „która jest przyjaciółką hrabiny", ale tamta pani przerwała: „Ale my jedziemy do Cudowy, żegnam państwa" i z dumą zawraca kontrafałdę, pociągając za sobą spłoszoną wnuczkę, — niewiadomo co jej więcej dogryzło: koligacye mojej znajomej czy przepowiadany głód w „badach".

Czerwiec przybiera dni. Poznań wyludnia się coraz bardziej—zostajemy tylko my—ogórkarze!

Ogórki—ogórki, ogórki.

Tylko, że nawet tego nie widzi się tak wiele! Co robić? Jeśli uda się urwać godzinkę, dwie czasu, pryśnie się do Puszczykowa—byle nie w niedzielę.

Niedziela w Puszczykowie bowiem i w tym podobnych letniskach przypomina owe staroświeckie malowidła, gdzie artysta w dowód zdolności swoich gromadził jaknajwiększą ilość postaci na małym skrawku papieru—głowa przy głowie, głowa za głową, głowa nad głową, a obok w porządku poukładał ręce — miałem zawsze pasję liczyć czy są wszystkie, a największem marzeniem mojem było złapać malarza na pomyłce. Otóż tak wygląda mniej więcej Puszczykowo w niedzielę.

W inne dnie, rankiem czy o zmierzchu jest tam cudnie. Warta, rozlana szeroko, zatacza łuki wśród trzcin i wydm piasczystych, odbija w głębiach swych sosny wysmukłe, proste, chmurosiężne. Płynie Warta, nabierając wprost Böklinowskich nastrojów — a las gada z cicha, poważnie stare, bardzo stare legendy. Las gada gdy lekki wiatr po konarach się niesie, a gdy zaświszcze, zaszumi potężniej, to zdaje się wielki, nieśmiertelny nucić rytm, lechicki rytm niezłomny: „nie damy się, nie damy" — a potem echo słodkie niesie pogwary: to sitowie szeleści nad brzegiem, wierzby karłowate na wydmach mówią coś bardzo subtelnego — co w duszę wsiąka—ale czego powtórzyć nie sposób!

Tak i my miastowi mamy swoich uroków krainy i z nami nie tak znów krucho a fantazyja znajdzie się zawsze jeszcze — choćby w pachnącej berlińską smołą drukarni, gdzie krakowsko-warszawska piosenka w pogwizdce wtóruje maszynom, tłoczniom, zecerniom

„Ksiądz proboszcz mi nakazował"

wyszło już trochę z mody gdzieindziej, ale my to jednak wolimy od „szlagerów".

II.

Około teatru zaczyna bić silniej tętno życia Poznania. W czerwcu mieliśmy premierę "Tamtego" Zapolskiej, w lipcu „Świerszcza za kominem" Dickensa.

Jednem słowem po długim adwencie teatr rozhulał się, albo raczej, po trwającym dość długo, niestety, repertuarze teatrzykowym zaczyna u nas powoli pojawiać się Sztuka. Przychodzi jej to dość trudno, postękuje, przystawa, ogląda się dokoła jak to jeszcze daleko na szczyt, ale wreszcie gramoli się jednakże na estradę!

Publiczność pokrzykuje na ochotę, na wiwat, jedni robią to umiejętniej, drudzy mniej—trochę barbarzyństwa czai się jeszcze po kątach widowni, a może i za kulisami—ale jakoś idzie!

Na to, aby Poznań posiadł w pełni kulturę teatralną, potrzeba czasu, potrzeba poprostu aby dyrekcya wychowała sobie publiczność, ale to się zrobi, a może prędzej nawet niż sądzą pesymiści.

Poznań pokonał już tyle trudów, uda mu się nieborakowi i więcej jeszcze!

„Tamten" i „Świerszcz" to dwa biegunowe przeciwieństwa—jest to, jak na początek nader szeroka skala, trudno jednakże powiedzieć, żeby się nie udało.

Reżyserya obu sztuk spoczywała w ręku pp. Nuny Młodziejowskiej i Bolesława Szczurkiewiczów—oboje także brali udział czynny w grze.—„Tamten" jako rzecz ma swoje usterki. Jest to sztuka bardzo żywotna, która nigdy nie umrze na scenie, a to najważniejsze, ale nie jest ona jednolitym dramatem, czy tragedyą, lecz zbiorem, konglomeratem kolosalnych efektów i doskonałych obrazków rodzajowych. Każda postać szczególną swoją przeżywa tragedyę, każda mogłaby być osią osobnej sztuki, o każdej pisać możnaby dużo—już same sytuacye, gesty, sposoby i sposobiki sceniczne — a wszędzie drga ten niezrównany nerw sceniczny, ten skarb twórczości Zapolskiej. Zarzut główny postawiłbym ten, że teza nie jest racyonalną, przecież bohater główny, przez uderzenie w twarz policmajstra nie staje się „tamtym". Ale wrażenie było i grano z małemi wyjątkami doskonale!—A przedewszystkiem Korniłow! — O! o Korniłowie mówił Poznań długo! Ktoś, spotkawszy pp. Szczurkiewiczów na plantach, zawołał podobno: Korniłow!

Dziś nie wiem, czy zawołanoby to samo jeszcze, bo artysta stworzył znów nową świetną wręcz kreacyę — mianowicie „Kaleba" Dickensa.

Co za skok od Korniłowa—a „Świerszcz za kominem" spotkał się z bardzo pochlebną krytyką prasy i z zainteresowaniem dużem publiczności.

Rozpogodziły się twarze, uśmiech zakwitł na niejednych, bólem skrzywionych ustach, zawiało pogodą od sceny, trysnął zdrój humoru, zdrowego rozweselenia — a to nie tylko Dickens, ale i szanowni artyści, przechodzący wprost samych siebie — np. Roszkiewiczowa, jako Tilly, dali nam takie jasne chwile. — Bajkę Dickensa dyrekcya nasza uscenizowała,—nie jest to rzecz sceniczna, więc nie wszystko udało się, ale pomysły reżyserskie były bardzo dobre.

Koncertów, wieczorów artystycznych niema teraz, boć Poznań jeszcze wyludniony.—W tramwajach wskutek tego przestronniej—na ulicach widno — wzrok spokojnie leci w dal. — "Bazar" drzemie, poziewując pustem wnętrzem bramy, w sklepach, magazynach subjekci, 15 — 16 letni siedzą na „ladach", wentylując stopy w „ersatz - obuwiu", a panienki skupiają się w drzwiach, pogadując niby o czemś, a o niczem. — Biblioteki pozamykane naturalnie równocześnie, tak, że między czerwcem a sierpniem żadnemu wielkiemu człowiekowi umrzeć nie wolno, nic wybitnego zdarzyć się nie powinno, bo przecie panowie redaktorzy nie mają gdzie zasięgnąć informacyi książkowych! Świat mimo dobrych chęci nie zawsze jednak może zastosować się do naszych bibliotek.

W Poznaniu więc dość cicho teraz, ale zato tam na wsi radzą o nas.

W myślach przesuwają mi się ciężkie, duże wozy naładowane "zbożem rozmaitem, pozłacane pszenicą, posrebrzane żytem". Widzi się gromadę wesołą przy stogu — dziewczęta w błękitno - szarych chusteczkach i takichże fartuchach, fornali starych krzepkich, na Pałukach wysocy, na Kujawach krępi — a dziewczęta to najpiękniejsze pono w Kościańskiem.

Śmigają snopki! Raz: dziab, dwa: w górę, trzy—upadł na wierzchu—a któryś starszy już go tam zgrabnie ułożył.

Wśrod ludu tego migają czapki różnorodne jeńców, a dzieciaki uwijają się z „podwieczorkiem", wlokąc do domu przez ścierniska uzbierane pęki kłosów.

Zachodzi kędyś słońce czerwcowe—na zaorane już gdzieniegdzie, między mędlami pola—zachodzi, a od łąk dolatuje swawolna piosenka.

„Pod borem, pod lasem, pod tą liliją"

leci piosenka—leci — aż tu do nas, odbija się o bruk i ginie gdzieś w ciemnych zaułkach, piwnicach, strychach.

Zbigniew Topór.

O Teatr Ludowy.

II.

Panem et circenses — oto hasło, które rozbrzmiewało w walkach społecznych starożytnego Rzymu. Niezadowolony naród żądał od cesarza „chleba i widowisk". Te dwa słowa zawierają więcej, niż wszystkie nasze rozważania na temat „kwestyi socyalnej". Bo nie chodzi tam tylko o sprawy żołądka i pracy, co stanowi kwintesencyę współczesnej „kwestyi socyalnej", lecz w równym stopniu uwzględnione są potrzeby ducha. Tu jakby rzymianin głosi zasadę biblijną, iż „nie samym tylko chlebem człowiek żyje". Żądanie narodu rzymskiego, ujęte w formułę „panem et circenses", było usprawiedliwione wielowiekową tradycyą starożytnego świata, tradycyą kultu jego dla sztuki dramatycznej. Gry i widowiska publiczne były przedmiotem opieki państwowej na równi ze sprawami z zakresu jurysdykcyi, sztuki wojennej i t. p.

W Atenach archont nakładał obowiązek na każdego bogatszego obywatela wspierania pieniędzmi teatru i w ten sposób zaszczycał go rolą mecenasa sztuki. Przedstawienia teatralne były uroczystościami, na które zapraszano cały naród. Bilet wejścia na przeciąg 3 dni kosztował jedną drachmę (około 70 fen.), na jeden dzień dwa obole (około 13 fenigów). Za czasów panowania Peryklesa mniej zamożni obywatele otrzymywali pieniądze na kupno biletów wejściowych z kasy państwowej. (Por. Spemanns goldenes Buch des Theaters. Stuttgart. 1912, str. 17). W Rzymie wejście na przedstawienie było darmo tylko dla osób ze stanu obywatelskiego (tamże, str. 31). Dostęp więc do teatru mogli mieć wszyscy. W Grecyi wobec majtków, tragarzy i drobnych sprzedawców wystawiano sztuki, które do dziś dnia stanowią źródło najwznioślejszych uczuć, śmiałych myśli i głębokiego zrozumienia ludzi i życia. Jeszcze w chwili obecnej sztuki te przekłada się na wszystkie języki świata, komentuje się i podziwia.

Od czasów błogosławionej epoki Peryklesa, w której rozwijała się i potężniała sztuka grecka, minęło dwadzieścia kilka wieków i dopiero w czasach najnowszych zrozumiano, że teatr w wielkim stylu, teatr, mający stać się rozsadnikiem kultu piękna wśród mas ludowych, bez ingerencyi i poparcia materyalnego państwa, miasta lub wreszcie specyalnych korporacyi istnieć nie może. W ostatnich czasach coraz więcej zwolenników zjednywa sobie idea teatru korporacyjnego, którego wzorem może być „Wolna scena ludowa" (Freie Volksbühne) w Berlinie, założona w r. 1892. Charakter korporacyjny tego teatru polega na tem, iż jest on własnością pewnego zrzeszenia, które drogą składek gromadzi potrzebne fundusze i czuwa nad jego stanem materyalnym. W r. 1890 liczba członków, należących do tego zrzeszenia, wynosiła 1500 osób, w r. 1905 przeszło 6000, w r. 1906—20.000 i w r. 1910 przeszło 38.000. W ciągu więc 20 lat liczba członków wzrosła o 96%.

Kiedy w r. 1901 odbyło się zaledwie 39 przedstawień, czyli mniej więcej jedno przedstawienie na 10 dni, w r. 1910 liczba przedstawień podniosła się do 539, czyli że w ciągu 9 lat wzrosła o 92%. Im bardziej rozwijało się towarzystwo, tem pilniejszą stawała się potrzeba wybudowania własnego gmachu. Teatr na placu Bülowa, o którym już wspominałem, powstał właśnie z inicyatywy korporacyi „Freie Volksbühne" i stanowi jej własność. Fundusze zebrano głównie ze składek, płaconych przez członków oraz drogą opodatkowania biletów teatralnych, kupowanych przez członków na przedstawienia korporacyjne, 10-fenigową dopłatą! Poza tem otwarto listę składek dobrowolnych, pochodzących od członków i osób postronnych, które odpowiednio oprocentowane (5 od sta) miały być zwracane w dwa lata po wybudowaniu i otwarciu teatru. Pewną pomoc materyalną zamierzeniom wspomnianej korporacyi berlińskiej okazały również banki i miasto. W ten sposób zgromadzone fundusze po kilku latach przedstawiały tak poważną sumę, iż można było przystąpić do budowy nowego, okazałego gmachu teatralnego. Widownia tego teatru mieści 2000 widzów. Plac szacowany jest na 1.700.000 mk., koszta zaś budowy wynoszą 2.300.000 mk. Ogólna wartość gmachu wyraża się zatem sumą 4.100.000 mk.

Stworzenie u nas teatru korporacyjnego, na wzór teatru na placu Bülowa w Berlinie, wymagałoby niezawodnie również kilku lat usilnej propagandy i dobrze zorganizowanej akcyi. W chwili obecnej, kiedy całe nasze życie kulturalne pragnie się na nowym oprzeć gruncie i w nowe je uposażyć wartości, również i na polu powszechnego wykształcenia estetycznego, nie powinno zabraknąć u nas dobrych chęci i skutecznych zabiegów. Należałoby teraz powołać do życia specyalne stowarzyszenie czy „Związek przyjaciół Teatru Ludowego" (nazwa stowarzyszenia mogłaby być dowolnie zmodyfikowana), którego zadaniem byłoby zajęcie się odpowiednią propagandą oraz zbieranie funduszów na budowę przyszłego Teatru Ludowego (lub Popularnego). Projektowany związek z początku dawałby przedstawienia w teatrze wynajętym, z czasem zaś przystąpiłby do budowy własnego gmachu. Fundusz na ten cel byłby gromadzony:

1) ze składek członkowskich;

2) z koncertów i uroczystości;

3) z odczytów o sztuce, literaturze i teatrze;

4) ze składek dobrowolnych osób postronnych;

5) ze sprzedaży druków w celach propagandy (sprzedaż odbywałaby się w całym kraju);

6) z wystaw teatralnych i t. p.

Sprawa stworzenia Teatru Ludowego lub Popularnego powinna zainteresować jaknajszersze sfery w naszem społeczeństwie, przedewszystkiem zaś istniejące u nas związki zawodowe.

Z dawnym szablonem teatrów ludowych, będących zaprzeczeniem wszelkiego artyzmu, należy raz nazawsze zerwać. Teatr Ludowy musi przestać być karykaturą, spaczeniem sztuki, lecz na równi z innymi teatrami, przeznaczonymi dla mieszkańców zamożniejszych dzielnic miasta, dążyć do najwyższych jej ucieleśnień i godnie służyć kulturze duchowej narodu.

Leon Pączewski.

(D. c. n.).

Teatr Popularny na Pradze.

Wystawienie d. 9 b. m. w Teatrze Popularnym na Pradze baśni dramatycznej Jerzego Żuławskiego „Eros i Psyche" na deskach tej sceny było nietylko eksperymentem w znaczeniu teatralnem, lecz również próbą wytężenia największego zasobu energii ludzkiej. Był to eksperyment sceniczny nie ze względu na jakieś pomysły nowatorskie, nie ze względu na nowe ujęcie sceniczne sztuki, lecz z uwagi na umiejętność wyzyskania skromnych środków dekoracyjnych i technicznych teatru oraz niewyszkolonego i nierutynowanego zespołu aktorskiego dla celów tak trudnej do wystawienia sztuki, jaką jest „Eros i Psyche". Próby trwały podobno wszystkiego 5—6 dni, a obraz 6-ty p. t. „Rewolucya", za czasów rosyjskich zakazany, był w próbach zaledwie jeden dzień. I mimo pośpiechu, jaki obowiązywał na próbach reżysera, mimo ubóstwa i prymitywności dekoracyi, sztukę Żuławskiego wystawiono z należnym jej pietyzmem i starannością.

Rolę Psychy kreowała p. Aldona Jasińska, b. artystka teatru Polskiego, grając ją w spuściznie po pp. Mrozowskiej, Solskiej i Przybyłko - Potockiej. Młoda i obiecująca artystka wywiązała się z powierzonej sobie trudnej roli w sposób najzupełniej zadawalający, wykazując głębokie zrozumienie intencyi poety i zdolność opanowywania ról z repertuaru liryczno-dramatycznego.

W roli Blaksa wystąpił p. Zejdowski, poprawny jedynie w akcie pierwszym, zaś rolę Erosa interpretował bardzo starannie p. Tatarkiewicz. Można mieć nadzieję, że powodzenie, jakiego doznała sztuka Żuławskiego, zachęci dyrekcyę do kontynuowania programu literacko-artystycznego, co nada teatrowi na Pradze charakter placówki prawdziwie kulturalnej i pobudzi może Magistrat do większego interesowania się jego sprawami. *(l.)*



WACŁAW ROGOWICZ.

CHÓR PIELGRZYMÓW.

Dramat w 1 akcie.

10)

SĘDZIMIR. Dobra myśl, tylko... gdzie ja to teraz znajdę? To stary rękopis z czasów jego młodości. (*Namyśla się*). Trudno będzie wyszperać. (*Do siebie*). Spróbuję. Może to jest w tece architektonicznej—to miałbym odrazu. (*Do Kaleńskiego*). Jeżeli to jest tam, gdzie przypuszczam, to zaraz wam przyniosę. Jeśli nie — to kiedyindziej, bo muszę się spieszyć. (*Wychodzi szybko do pracowni Andrzeja*).

KALEŃSKI (*wstaje powoli i podchodzi do biureczka Toni. Przygląda się. Półgłosem*). Niema tu jej fotografii. (*Ponuro*). Jest tylko jego... (*Zatrzymuje wzrok na małym portrecie ojca Toni, wiszącym nad biurkiem*). Podobna do ojca... te same oczy, dobre i stanowcze, ten sam nos rasowy... (*Nasłuchuje i szybko, utykając, wraca na fotel*).

SĘDZIMIR (*wchodzi ze starym zeszytem, bez okładki, w ręce. Z zadowoleniem*). No, udało mi się. Mam dobry nos. (*Przygląda się zeszytowi, nie otwierając go*). Brakuje tu tytułowej kartki, wyrwana, niema nazwiska autora i tytułu, ale to jest to, czegośmy szukali. (*Pokazuje Kaleńskiemu*). Ołówkiem dopisany nagłówek przed samym tekstem. (*Odczytuje słowo za słowem*): „O zabytkach budownictwa drewnianego w Polsce“. (*Przygląda się wraz z Kaleńskim pismu*). Jak mało mu się zmienił charakter pisma... tyle lat... Andrzej to jeszcze w kraju przecie pisał... mówił mi kiedyś... zawsze zbierałem się przeczytać... i tak schodziło. Nie zgubcie aby.

KALEŃSKI (*przygląda się*). Istotnie, ten sam charakter pisma... powiedziałbym tylko, że dziś ma bardziej nerwowy, niespokojny...

SĘDZIMIR (*oddając rękopis Kaleńskiemu*). No, cóż chcecie? Lata, przeżycia robią swoje. (*Po chwili, podając rękę Kaleńskiemu*). Lecę już. Trzymać się ostro, uszy do góry — to grunt. Dowidzenia.

KALEŃSKI. Wpadnijcie do mnie jutro.

SĘDZIMIR. Zajdę, i owszem. Zobaczę, jak się czujecie.

KALEŃSKI. Dziękuję. Poczciwa z was dusza.

SĘDZIMIR (*bierze kapelusz i laskę i, kiwając dłonią Kaleńskiemu, szybko wychodzi do ogrodu*).

KALEŃSKI (*trzyma rękopis w lewej ręce i bezmyślnie przewraca kilka kart. Opuszcza rękę za poręcz fotela bezwładnie. Z zawisłego w powietrzu rękopisu wypada arkusik listowego papieru na podłogę, koło wyciągniętych nóg Kaleńskiego. Głucho, patrząc przez siebie*). Na każdem polu... (*Zeszyt wysuwa mu się z ręki. Schylając się, by podnieść rękopis, dostrzega wypadły list. Z gorączkowym pośpiechem chwyta kartkę, zostawiając zeszyt na podłodze. Czyta z wyrazem zaciekawienia, osłupienia, wreszcie dzikiej radości. Zdławianym, gorącym, szeptem*). Co?... Co?!.. Co?!... Co to jest?!... Wyraźnie... załączoną przy niniejszem... doskonałą pracę „O zabytkach budownictwa drewnianego w Polsce...“ młodego malarza i architekta... Piotra Borskiego... gorąco polecam... (*Odwraca kartkę*). Adam Ma-ry-no... Ma-ry-nie... profesor Akademii. (*Gwałtowna walka wewnętrzna odbija mu się na twarzy. Chrapliwie*). Więc to tak?!... (*Wstaje, w podnieceniu, prawie bez wysiłku i, rzuciwszy okiem na schody, szybko chowa kartkę do kieszeni kurtki pod pelerynę. Drżącą ręką opiera się o fotel i wpatruje w schodzącą powoli ze schodów Tonię*).

TONIA (*w białej koronkowej sukni, dekoltowanej, patrząc badawczo na Kaleńskiego, zbliża się wolnym krokiem do kominka*). Jaki pan zmieniony... co panu jest?

KALEŃSKI (*pożera ją wzrokiem*). Nic... osłabienie... podniecenie... właściwie nic... (*plączą mu się wyrazy*).

TONIA (*rozgląda się i podnosi zeszyt. Z niepokojem*). Co to jest?... (*Przygląda się*) Pismo Andrzeja... (*Patrzy pytająco na Kaleńskiego*).

KALEŃSKI (*siląc się na spokój*). Studyum Andrzeja... w rękopisie... Sędzimir mi pożyczył... chciałem poznać dawno...

TONIA (*zdumiona, nawpół do siebie, oglądając*). Nie znałam tego... (*Naraz podejrzliwie*). I to pana tak wzburzyło? (*Niechętnie, zimno, podając zeszyt Kaleńskiemu, który nie wyciąga po niego ręki*). Tylko proszę nie zgubić. (*Po namyśle*). Albo lepiej, zatrzymam to u siebie, przeczytam—potem panu przyślę. (*Kładzie zeszyt na kominku i, odwrócona do Kaleńskiego tyłem, wybiera z wazonu przed biustem Andrzeja białą i ponsową różę, mówiąc podczas tego*). To dla mnie są rzeczy cenne... a pan taki roztargniony...

KALEŃSKI (*ze złym uśmiechem cofa się krok wtył, a potem czyni ruch, jakby się chciał rzucić na Tonię*).

TONIA (*przypinając sobie róże do gorsu, odwraca się do Kaleńskiego*).

KALEŃSKI (*zduszonym przez namiętność głosem*). Jaka pani cudna teraz... i okrutna.

TONIA (*cofając się mimowoli*). Też?...

KALEŃSKI (*j. w.*). Stroi się pani dla oblubieńca!...

TONIA (*wyzywająco*). A stroję. Dla szczęścia.

KALEŃSKI (*groźnie*). Zdarzają się nieszczęścia... po drodze.

TONIA (*chmurnie*). Panie Kaleński, pan jest chory. (*Łagodniej*). Niech pan wraca do domu i uspokoi się. Proszę. (*Chce mu podać rękę*).

KALEŃSKI (*dzikim głosem*). Niech pani mnie nie dotyka! Dotknie pani nieszczęścia!

TONIA (*odwraca zwolna twarz, na której maluje się lęk, niecierpliwość i odraza*).

KALEŃSKI (*zasłaniając sobą fotel, szybkim ruchem dobywa kartkę z kieszeni i rzuca ją na siedzenie. Cofa się co sił ku drzwiom od ogrodu, dysząc ciężko, z oczyma, nieprzytomnie wlepionemi w Tonię*).

TONIA (*zwraca się ku niemu, chcąc mu pomódz*). Jeszcze się pan potknie i upadnie. Proszę mi dać rękę.

KALEŃSKI (*gwałtownymi giestami wolnej ręki protestuje i osadza tem Tonię na miejscu. Znika w ogrodzie*).

TONIA (*stoi jakiś czas w progu, patrząc za nim, oparta ręką o uszak. W pewnej chwili nachyla się gwałtownie. Z westchnieniem ulgi prostuje się*). Doszedł szczęśliwie. Jakże mnie zmęczył. (*Przeciera dłonią oczy i staje ze zwieszoną głową w zadumie w pobliżu fotelu. Mówi jak przez sen*). Dotknie pani nieszczęścia... (*Wzdryga się*). Tak powiedział... (*Wpatruje się w fotel i naraz jednym skokiem porywa kartkę. Trąbka i warkot samochodu*).

TONIA (*czyta, słania się, chwyta za fotel, upuszcza kartkę. Jęk. W obłędnem natężeniu myśli, ściska oburącz głowę i posuwa się bezwiednie kilka kroków naprzód, jakby dostrzegłszy coś w przestrzeni rozwartemi oczyma*)... trumna... szeroka biała przepaska... na skroniach... Jezus, Marya! (*Za drzwiami pracowni słychać łoskot przewracanego krzesła, drzwi rozwierają się z hałasem i wpada* ANDRZEJ).

ANDRZEJ (*rzuca się ku Toni, bełkocąc bezładnie*)... Twój krzyk... Co to?... Kto?... Kto tu był?!...

TONIA (*bezsilnym szeptem*). Szatan...

ANDRZEJ (*opamiętywa się odrazu*). Ah!... Kaleński tu był?!...

(*Chce rzucić się za nim w pogoń do ogrodu*).

TONIA (*powstrzymuje go w progu*). Nie szukaj go... On już zrobił swoje... Już nas nie obchodzi. (*Chwyta Andrzeja za ręce, pociąga ku sobie i staje twarzą w twarz*). Andrzeju! na Boga żywego!... (*Dławi się słowami*) to ty... ty... mego ojca!... (*Wpija się kurczowo w ramiona Andrzeja, cała naprzód podana, wyprężona, jak struna*)... Czy to... to... może być... prawda?!!... (*Pauza. Słychać tylko. jak dyszy Tonia*). Patrzysz na mnie przerażony?!... Milczysz?!!... (*Szybko, nieprzytomnie*). Czemu nie mówisz, że to kłamstwo... podła zemsta!... fałsz... omyłka... zemsta! (*Targa Andrzejem, szalona rozpaczą i nadzieją*). Oh, powiedz, że tak—nie milcz!... Andrzeju!... Na miły Bóg, powiedz, zaprzecz temu!... (*Nagle puszcza go i cofa się, dygocąc. W najwyższem przerażeniu*). Ty milczysz!... A oczy twoje mówią mi... (*Cofa się jeszcze dalej ku ścianie, złamana, słaniając się*).

ANDRZEJ (*głucho, z wysiłkiem, nie podnosząc głowy*). To jest prawda.

TONIA (*z krzykiem*). Co?!... co?!... Że to ty zabiłeś mego ojca... że ty jesteś Borskim... Piotrem Borskim?!!!... Ty!...

ANDRZEJ (*ze ściągniętemi boleśnie brwiami, grubszym niż wprzódy, pewniejszym głosem, dobitnie akcentując pierwsze słowo*). Byłem kiedyś Piotrem Borskim. (*Pauza*). Dziś— wiesz, kim jestem.

TONIA (*posuwając się parę kroków ku Andrzejowi, lecz strzegąc się go dotknąć*). I ja... tyle lat... tyle czasu... nic od ciebie... nic... I ty... byłbyś mi nigdy... nie wyjawił... (*Ze śmiertelnym uśmiechem*). Dopiero teraz... na krok przed... o Boże!... dopiero teraz porwał cię lęk... obłędny lęk przed tem... co czynisz... (*Z żalem strasznym*). Czemuś mi nie wyjawił dawniej tej okropnej tajemnicy, (*krzyczy nieomal*) dawniej?!!!...

ANDRZEJ (*wyciągając ku niej ręce*). Toniu, dziecko jedyne!

TONIA (*cofając się, głosem skrzywdzonego dziecka*). Nie. Nie. Nie podchodź do mnie! (*Widząc niezmierną boleść na twarzy Andrzeja, zwolna zasłaniającego sobie oczy dłonią, mówi cicho, prosząco*). Andrzeju, daruj... ja teraz nie mogę... zostaw mnie samą... muszę być teraz sama... wybacz... ja muszę... (*ze zgrozą*) objąć to... pojąć... pojąć... muszę przyjść do siebie... zrozumieć to... takie straszne... Potem poproszę cię tutaj...

ANDRZEJ (*złamany, zmartwiałym głosem*). Wiesz teraz już wszystko... znasz moje życie dalsze... (*rozpacznie potrząsając głową*) nasze wspólne życie do dzisiaj... Sądź mnie. Poddam się twemu wyrokowi bez szemrania... Idę... (*Pauza*). Nie wyjdę stamtąd, (*wskazuje pracownię*) póki mnie nie wezwiesz. (*Zwolna, patrząc na stojącą z opuszczoną głową Tonię, odchodzi. Przede drzwiami obraca się, i w owej chwili oczy ich spotykają się. Andrzej przez chwilę czeka na coś, potem z westchnieniem beznadziejnem, wpół do siebie, wpół do Toni*). Mnie Rzym przebaczył... a Elżbieta?...

(*Widząc, że Tonia zasłania twarz dłońmi i zlekka odwraca głowę, wychodzi, złamany zupełnie i cicho drzwi za sobą zamyka. Po chwili rozlegają się miarowe kroki Andrzeja, chodzącego tam i z powrotem po sąsiednim pokoju*).

TONIA (*patrzy przez chwilę z przerażeniem na drzwi, za któremi znikł Andrzej i szepce*). Odszedł. (*Pada na krzesło przed swem biurkiem, kładzie głowę na skrzyżowanych ramionach i trwa tak długą chwilę. Unosi głowę i wlepia wzrok w mały portrecik na ścianie nad biurkiem. Rozdartym głosem*). Ojcze mój! (*Posuwa się parę kroków w kierunku drzwi Andrzeja. Gorącym szeptem*). Andrzeju! (*Staje przed biustem Andrzeja na kominku. Z uwielbieniem*): Mistrzu i opiekunie! (*Stoi, zapatrzona. Potem, jakby w nagłem postanowieniu, zmierza ku pracowni, lecz przede drzwiami zatrzymuje się. Słychać, jak nagle Andrzej przestał chodzić. Po chwili walki Tonia, szepcząc ze zgrozą*: Mego ojca, mego biednego ojca... *cofa się krok za krokiem*. ANDRZEJ *przekręca zwolna klucz we drzwiach. Pracownię zalega teraz cisza*).

TONIA (*zatrzymując się z przerażeniem*). Zamknął się. (*Zwracając się do portretu ojca, mówi cicho, nieprzytomnie*). Odgrodziłeś mnie od niego... Zamknął się... Widzisz... Już go więcej nie zobaczę... Tak kazałeś, ojcze... on to wie... i zamknął się... Musiał. (*Pauza*). Okrutny jesteś, ojcze... Już go więcej oczy moje nie zobaczą... (*Pauza. Patrząc na portret*). Co twoja Tonia zrobi teraz ze sobą? Co?... (*Opiera głowę o ścianę i trzęsie się od wewnętrznego łkania. Nagle, śmiertelnie blada i spokojna, zrezygnowanym głosem, dobitnie*). Tak trzeba. (*Siada przy biurku i pisze kilka zdań na kartce. Płacze cicho, skończywszy. Potem, znów spokojna w swem ofiarnem męstwie, bierze pęk róż z wazonu i, zbliżywszy się na palcach do drzwi pracowni, ucałowane gorąco kwiaty wraz z kartką składa pod progiem, przykrywając pismo kwiatami i szepcąc namiętnie*): Tobie jedyny! (*Odchodzi parę kroków, powtóre zbliża się do drzwi Andrzeja, szepcąc*): Żegnaj, najdroższy... wybacz to twojej biednej Toni... odchodzi... bo musi... (*Ze wzrokiem, utkwionym we drzwi pracowni, powoli tyłem zaczyna wstępować po schodach na szafot swego partenonu. Wstępuje z trudem, bez sił, ciągle przystając. Nagle szybki zgrzyt klucza we drzwiach pracowni—i w progu staje* ANDRZEJ. *Przykuta do miejsca jego wzrokiem, Tonia zatrzymuje się*).

ANDRZEJ (*patrzy długą chwilę na nią, poczem schyla się szybko, chwyta wystającą z pod kwiatów kartkę, przebiega ją wzrokiem i powtarza głuchym, rozpaczliwie-pytającym głosem z niej*):... „Przebaczam ci z serca. Ale żyć z tobą teraz już nie mogę. Bez ciebie teraz też już żyć nie mogę. Więc odchodzę... Przebacz ustom moim, jeśli cię zraniły w bólu. Serce zostało ci wierne do ostatka. Żyj w chwale i kochaj pamięć moją, jakeś mnie kochał za życia. Nie zapomnij nigdy twojej... (*Głos mu się załamuje — nie kończy. Chowa kartkę do kieszeni i zostawia tam rękę. Lewą podnosi kwiaty do twarzy i półobraca się ku drzwiom*).

TONIA (*zbiega pędem ze schodów i z okrzykiem*: Nie! Nie! Nie! Ty musisz żyć. I ja chcę żyć!... Ratuj mnie, Andrzeju! *pada mu u nóg, zagradzając sobą wejście do pracowni*).

ANDRZEJ (*obejmuje ją i, łagodnie podnosząc z ziemi, tuli do ust jej ręce, błagalnie złożone*).

TONIA (*chowa głowę na jego piersi. Jednocześnie, daleko jeszcze, w głębi ogrodu wykwita las pochodni i rozbrzmiewa początek „Hymnu Pielgrzymów“ z Tannhäusera, chóru a capella, nadciągającego zwolna ku tarasowi*).

ANDRZEJ i TONIA (*unoszą zwolna głowy i wsłuchują się w pieśń*).

ANDRZEJ (*jak ze snu zbudzony*). Co to?... Słyszysz, Toniu?...

TONIA (*jeszcze, jak we śnie*). Słyszę, Andrzeju... słyszę...

ANDRZEJ (*w uniesieniu*)... melodyę... naszych serc?... (*Chce ją przycisnąć do siebie*). Bądź moją!...

TONIA (*lekko odchylając głowę, cichym, słabym głosem*). Nie wiem... Może potem... Może kiedyś... (*Lecz, jakby urzeczeni pieśni mocą odkupiającą, potężnej woli do życia powróceni*, ANDRZEJ i TONIA *prostują się bezwiednie i idą zwolna na spotkanie chóru, który w strojach pielgrzymów z „Tannhäusera“ staje, coraz donośniej śpiewając, pod tarasem. On obejmuje jej kibić mocnem ramieniem — Ona idzie półsenna, z ręką na jego ramieniu, z głową, na to ramię pochyloną, z odebranym pękiem róż w lewej, zwisłej wzdłuż białej sukni dłoni—cała w mocy jego... bezsilna Oblubienica*).

SĘDZIMIR (*zatrzymawszy chór u stóp tarasu, wchodzi do sali, pogląda zdumiony na Tonię i Andrzeja i obie ręce ku Oblubieńcom wyciągając, zwolna ku nim podchodzi*).

ZASŁONA.

Grany po raz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości w Warszawie dn. 18 Czerwca 1918 r.



ZOFJA BASSAKÓWNA.

Zwierciadło.

1)

Park o tej porze był prawie pusty. Pani Anna zeszła z werandy i skierowała się ku ławeczce w lipowej alei, którą była upatrzyła sobie zrana. W zielonej, coraz bardziej rozsłoneczniającej się ciszy starego ogrodu ławeczka zapraszała do siebie cieniem, pełnym wonnego chłodu, ale, podchodząc, pani Anna spostrzegła, że na drugim jej końcu w niedbałej postawie odpoczynku siedzi młody człowiek w jasnym kitlu jedwabnym. Przypomniała sobie, że już w przeddzień, podczas podwieczorku na zakładowym tarasie zauważyła ten kitel i tę postać niewysoką, ale o tak doskonałej proporcyi, że brak wzrostu nie wydawał się w niej wadą—te proste, nieco wzniesione ramiona, ruchy krótkie, pozornie sztywne, w istocie tak dokładne, że nasuwały myśl niezachwianej, nieomylnej pewności. Przypomniała sobie również, że gdy, minąwszy ją, siadł obok przy stoliku i zamawiając jedzenie u służącego, zwrócił się w jej stronę, uderzyła ją twarz jego sucha, prawidłowa, równo opalona na bardzo jasny bronz z tym szczególnym złotawym odcieniem, jaki przybierają cery niezmiernie blade, nie znające rumieńca. Od złotawego bronzu odbijały oczy blado-niebieskie, włosy jasne, krótko ostrzyżone, i trochę ciemniejsze, także krótko przycięte wąsy nad ustami o bardzo wyraźnym rysunku. Oczy patrzyły spokojnie, jakby ponad otaczającemi; twarz miała wyraz energii w spoczynku; była rzeczowa, „ścisła“, a jednocześnie, zapewne wskutek rodzaju spojrzenia, niezmiernie, niepojęcie daleka. Z tej dali już—już zaczynało wydobywać się coś, jakby niewyraźne wspomnienie, ale w tej chwili Alf jął hałaśliwie upominać się o kawę zamiast mleka, którem częstowała go niania, i pani Anna musiała perswadować i uspakajać. Zanim skończyła podwieczorek syna i swój, nieznajomy odszedł, a z nim razem rozwiało się i pytanie.

Zawahała się chwilę, siąść czy iść dalej. Najbliższa ławka stała w pełnem słońcu, a siedzący, po jedynem, przelotnem spojrzeniu, które podniósł na nią gdy podchodziła, patrzył znów przed siebie. Z ławki otwierał się widok na maleńką polanę, zamkniętą ścianą drzew o nadzwyczaj różnorodnej zieleni. Pani Anna siadła i wpatrzyła się także, powierzchnią duszy wbierając w siebie piękno. Głębia pracowała drobnym wysiłkiem, jak mała strużka, przeciskająca się wśród kamieni.

Z kontemplacyi wyrwał ją znajomy, wesoły głos.

— Cóż, stary? Spóźniłem się? Dawno czekasz na mnie?

Pani Anna podniosła oczy. Przybyły, spotkawszy jej uśmiech i wejrzenie, żywo przysunął się z wyciągniętą ręką.

— Pani tu? Co za niespodzianka! Kiedy ostatni raz byłem u państwa, nie mówiła mi pani o projekcie. Zjeżdżają się znajomi! Przed chwilą dojrzałam w alei panią Kraskowską.

— Właśnie pani Kraskowska namówiła mnie, żeby tu przyjechać z Alfem.

— Kuruje pani syna?

— Doktór nam obojgu przepisał kąpiele. Położyłam go spać pod opieką niani, a sama wyszłam posiedzieć.

— Rad jestem niewymownie, że panią tu widzę. A Władysław czy także jest tutaj?

— Będzie nas odwiedzał. Pan tu chyba nie dla kuracyi?

— Nie, ja tu mieszkam u swoich kuzynów Górczewskich, za parkiem. Pozna ich pani, bo oni tu często bywają i znają państwa Kraskowskich z ich dawniejszych przyjazdów. Właśnie idę teraz do nich z kolegą.

Pani Anna uprzejmie skłoniła głową. Nieznajomy, słysząc przywitanie, już poprzednio był wstał i odszedłszy parę kroków z kapeluszem w ręku czekał na koniec rozmowy.

— A więc nie zatrzymuję pana. I ja rada jestem, że pana tu spotkałam. Musi pan nas odwiedzić, gdy przyjedzie Władysław.

— O, ja przyjdę jeszcze i przedtem. Jako miejscowy, będę pani czynił honory okolic, które są prześliczne.

Gdy oddalili się, jeden rosły, barczysty, drugi niewielki, idący obok długiemi krokami, które u innego wydawałyby się śmieszne, pani Anna powiodła za nimi wzrokiem, znowu usiłując sobie przypomnieć, gdzie i kiedy widziała już tę postać. Jakiś obraz o zatartych konturach i tylko ten sam równy, sprężysty, oddalający się krok...

Wieczorem wpadła do niej pani Kraskowska, ubrana jak dziewczynka, która postanowiła zabawić się w „gości", z minkami i roztrzepotaniem dziewczynki, i zaczęła wyciągać ją na taras.

— Alf już śpi? Ach, naturalnie, pani taka wzorowa matka! Niech pani się ubiera prędko, prędko, prędko! Bryś już jutro wyjeżdża i kazał mi, iść po panią, pani wie, że ja swego męża, nazywam Brysiem? On taki, duży i wierny. On się za to, nie gniewa. On mówi na mnie czasem Kizia, a czasem Mysia, i ma żonę we dwóch osobach. Prawda, że to ładnie: Bryś i Kizia? Ale ja wolę Mysię. Mógłby, kto pomyśleć, że żyjemy z sobą jak pies z kotem, ale to byłaby nieprawda, bo my się bardzo kochamy. Tak jak i państwo. Pani z panem Władysławem taka dobra para. Ja zawsze Brysiowi stawiam za przykład pana Władysława, a on mnie panią. Niech pani zostanie w tej sukni, to bardzo ładna suknia, tylko jeszcze kapelusz. Albo może szalik, na głowę? Pani bardzo ładnie w szaliku. Albo nie, wszyscy patrzyliby na panią, choć i tak będą patrzeć. Bryś czeka na tarasie. Pani wie, że pani bardzo podoba się Brysiowi? Spotkamy znajomych, zaprosimy do naszego stolika i będziemy się bawili.

Pani Anna wkładała kapelusz. Lustro, liche lustro z sezonowego umeblowania, ukazało jej twarz zielonawą i trochę zezowatą. Pani Mysia stanęła za nią.

— Ach, jak to wykrzywia! Człowiek przecież nie zna naprawdę swojej twarzy i gdyby zawsze w tem się tylko przeglądał, myślałby, że to jest prawdziwa. Mnie się zdaje, że może człowiek i swojej duszy nie zna, tak i twarzy, a tylko ją ogląda w innej duszy. Jeżeli bardzo kochająca, pokaże upiększoną; jeżeli bardzo przyjazna — prawdziwą. Ale przecież bywają i dusze krzywe, i te pokażą obraz wykrzywiony, a i w tem będzie jakaś część prawdy, i człowiek nigdy się nie dowie... Pani naturalnie, ogląda swoją w duszy pana Władysława.

Z minkami przemknęła wśród stolików, ciągle coś udając: to, że nie widzi spojrzeń, to, że je widzi, tam gdzie ich nie było. Dziecinienie się nadawało pozory młodości i wdzięku jej twarzy zmiętej i nieładnej. Za jasnym tarasem stała noc, zblizka zielona, chłonąca w siebie perłowe światła i dźwięki muzyki, dalej mroczna i głucha, przyczajona. Gałęzie kasztanów alei kołysały się zlekka, jakby zapraszając, a wraz z niemi poruszały się tuż u stóp tarasu ich długie, czarne cienie. Pani Mysia, siedząca z brzegu, wychylała się ku nim co chwila, robiąc wielkie oczy jak dziewczynka, która się boi strachów.

— Jak blizko koło człowieka stoi nieznane!

— Ależ znane — odparł Bryś z dobroduszną cierpliwością. — Spacerowałaś tam za dnia.

Pani Mysia trzepotała się dalej. Olbrzymi Bryś o porykującym śmiechu słuchał, słuchał, słuchał, siłą przyzwyczajenia znosząc nieustannie siepiący deszcz słów, nareszcie rzekł:

— Żono, zajmij się czem i daj mi spokój. Pani Anna jest urocza i chcę z nią dziś poflirtować.

— Bryś! — upomniała go pani Mysia z rozkosznym dąsem. — Nie zapominaj, że masz żonę! Albo zresztą flirtujcie sobie, ja nie jestem zazdrosna. Będę siedziała cichutko i słuchała.

— Nie!—odrzekł Bryś — znam cię: nie wytrzymasz. Trzeba zrobić dywersyę. Ot tam siedzą Radecki z Celińskim i nudzą się sami. Kiwnę na nich?

Podczas gdy garson szedł z zaproszeniem, pani Mysia spytała:

— Pana Radeckiego znam, a pani Anna jeszcze lepiej, ale kto jest pan Celiński?

— Także kolega, tylko nie mieszka w Warszawie. No, chwała Bogu, idą.

Jakoż młodzi ludzie, porozumiawszy się paru słowami, podeszli do towarzystwa i po przedstawieniu, które pani Mysia przyjęła z poważnie—naiwną gracyą, zajęli miejsca. Celińskiemu przypadło krzesło obok pani Anny. Gdy ustała wymiana ogólników i pani Mysia zaczęła zasypywać pytaniami Radeckiego, zwróciła się do sąsiada i spytała:

— Pan zapewne dużo podróżuje?

Celiński uśmiechnął się, zaledwie rozchylając usta pod małym wąsem. Pani Annie przemknęło przez głowę: „widziałam już kiedyś ten uśmiech".

— Pani tak mówi zapewne dlatego, że jestem opalony. Ale tymczasem nie byłem daleko.

Pod pytającem wejrzeniem dodał:

— Wracając do kraju, zrobiłem małą wycieczkę do Szwajcaryi i byłem na Matterhornie. Nic tak nie opala, jak słońce na lodowcach.

Nieco technicznie zaczął opowiadać o wyprawie. Myśl pani Anny przebyła zielone zbocza, zawahała się chwilę wśród olśniewającej białości śnieżnych szczelin i zwałów, wdarła na pochyłe lodowe płaszczyzny, zawahała znowu, nie zoryentowała, nie utożsamiła ujrzanej tam postaci z tą, która na błyskawiczny moment mignęła jej z wizyi południowej: niewyraźny zarys obrazu i ten krok, który się oddala... oddala... Przerwała mu opowiadanie i spytała:

— Ale pan odbywał i dalsze podróże?

— Pani mi przypomina—odrzekł znowu z uśmiechem — jedną jasnowidzącą w Paryżu, która po moim już dwuletnim pobycie w Europie orzekła z całą stanowczością, że wracam z Afryki. Byłem tam istotnie. Byłem również i w Ameryce i w Azyi. Widocznie przylgnęło do mnie coś dzikiego. Obecnie proponują mi wyjazd do Chin, ale się waham.

Po chwili wyjaśnił:

— Mieszkam właściwie w Belgii i jestem, jeśli pani zna tę nazwę, ingénieur-conseil jednego z towarzystw eksploracyjnych. Stąd dużo jeżdżę i po różnych krajach.

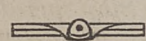
Bryś, który słuchał ich rozmowy, odezwał się:

— Ależ nosi ciebie po świecie... No, a jeśli wolno zapytać przy paniach, przepraszam za niedyskrecyę: jakże stoisz?

Celiński od niechcenia wymienił jakąś cyfrę.

— O!—rzekł Bryś z uznaniem — toś ty potentat!...

(D. c. n.).



RAZEM.



Popłynę z tobą przez oceany
w rybaczej łodzi,
będziemy patrzeć, jak na wód krańcach
słońce się rodzi.

Będziemy później za złotym globem
płynąć w bezmiary
i pić, jak słońce z wód lazurowych
upojeń czary.

A kiedy słońce w żarach się stoczy
na świata końce
to, nim zapłaczą gwiazdy nad nami,
zginiem, jak słońce.

Zofja Wojnarowska.



LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Dyskretnie przyćmione światło padało jasną smugą na różowe obicia ścian, kosztowne meble i lustra weneckie; igrało z mnóstwem figurek filigranowych z serwskiej porcelany, rozrzuconych tu i owdzie, a w końcu kładło się pieszczotliwie na obnażonej szyi i ramionach pięknej Liany, która rozkosznie oparta na jedwabnych poduszkach, zaciągała się dymem papierosa, częstując gościa mocną czarną kawą, ulubionym jego napojem.

— O jakiż dziś jesteś nudny,—ziewała lekko młoda kobieta—no, cóż mój chłopcze, czyżby cię zmęczył dzisiejszy obiad?— To ten szampan winien, głowa trochę boli, czy zgadłam? — szczebiotała podając mu z wdziękiem filiżankę wonnej kawy. Tu uderzyła go poufale po ręku i śmiejąc się głośno, rozchylała ponsowe usta, ukazując sznur olśniewająco białych ząbków. Szczyciła się niemi bardzo, choć byli tacy, którzy twierdzili, że kosztowały ją dużo, zanim zręczny dentysta tak je zmienił, ale oczywiście były to zdania zazdrosnych i odrzuconych wielbicieli. A Liana tak ogólnie była pożądana! Mimo swej reputacyi rozrzutnicy i kobiety, która każdego zrujnuje, młodzież złota krążyła około niej, lecąc jak ćmy około ognia. Liana śmiała się tylko z tego i zapewniała Jerzego o swej wiernej miłości.

I Jerzy ulegał, upajały go jej pieszczoty, pochlebiało jei uznanie i wybór, to też ani nie myślał o powrocie, czując się niezdolnym do żadnej pracy, wykolejonym i zgubionym.

Jedynem dla niego lekarstwem były zabawa, gra i szalona wesołość w towarzystwie Liany. Patrzył teraz na nią i czuł w sercu coś w rodzaju wdzięczności dla tej istoty, która potrafiła wlać mu w krew ochotę do życia, i odurzyć haszyszem zapomnienia.

Rude, pyszne włosy rozsypały się wokoło małej, kształtnej głowy, błękitne oczy płonęły wewnętrznym ogniem, a purpurowe, zmysłowe usta miały wyraz trochę okrutny.

Było to piękne ciało, lecz nic więcej kształty godne dłuta rzeźbiarza, ale umysł, płytki, przyćmiony, żądzą błyszczenia i pragnieniem złota. Ramię przedziwnej białości wyciągnęła w stronę Jerzego i wskazała oczyma na piękną brylantową bransoletę, ostatni jego dar, przymilała się, przybierając ruchy zręcznej kotki.

— Jeszcze jednej mi brak, o patrz, tu powinna być. Wiesz jaka? Cacko z samych rubinów, a widziałam jedną taką w oknie wystawy. Prześliczna, jak żywe krople krwi lśniły przecudne kamienie, pokażę ci ją jutro dobrze? A wiesz, że boję się, czy ją czasem już nie sprzedał. Gdy weszłam wtedy do składu, by obejrzeć z bliska bransoletę, oglądała ją właśnie jakaś pani. Bardzo wysoka i piękna, podobno Polka, mówili „un visage d'une grande tragédienne“, wyglądała na wielką damę i musi być majętna, gdyż nosi w uszach perły królewskie. A widziałam, że podziwiała kamienie, choć mówiła, że woli brylanty. Jerzy odrazu poznał z opisu o kim była mowa. Znał upodobanie kuzynki, pyszne perły jakie prawie zawsze nosiła, i domyślał się, że tylko ona jedna może zwrócić uwagę swą urodą kobietę, taką jak Liana. Potarł ręką czoło, i zwracając się do Liany, zapewniał ją, że zaraz jutro pójdzie do jubilera, i że może być spokojna o rubiny, które napewno dostanie.

— Kropla krwi—szepnął do siebie, prawda będą też niemi,— bagatela, flota uchodzi, czas mknie, a Liana? ona jedna umie go rozerwać i zabawić, gdy wszystko się skończy czas będzie pomyśleć o sobie...

Tak, stanowczo, na złość Ninie, przyjechał do Paryża, na złość hulał całemi nocami, rozbijał się powozami z piękną kurtyzaną, chcąc, by wiedziała, co zrobiła z niego, by choć sekundę pożałowała, że popchnęła go na tę drogę. A teraz? Przyjechał tu za Lianą do Nicei i nudził się. Nudził w gwarze bawiącego się miasta, mimo bali, zabaw, gry i obecności podziwianej kobiety.

Zbrzydło mu wszystko, i to rozbawione towarzystwo, zgiełk ulicy, brzęk pieniędzy, wybuchy zmysłowych pieszczot, wszystko! Uczuł w sercu jakby tępe uderzenie i ból, tak mocny, że musiał całą siłą woli panować nad sobą, by nie krzyknąć w głos— Nino, Nino, czemuż nie chciałaś mnie pokochać?

Schylił głowę i walczył rozpacznie z przygnębieniem, które coraz więcej go ogarniało.

Pod pretekstem, że musi przebrać się do teatru opuścił buduar kochanki, i zapuścił się w jasno oświetlone ulice. Sam nie wiedział jak skręcił w stronę morza. Chłodne powietrze i silny podmuch wiatru ochłodziły rozpaloną głowę Jerzego.

Stanął nad brzegiem w miejscu, gdzie fale z dziką jakąś zawziętością uderzały o kamienny brzeg ulicy. Gdzie zdala migotała latarnia, rzucając słabe światło na rozpryskujące się w powietrzu krople pieniącej wody, a głuchy pomruk morza dziwnie zdawał się smutny i beznadziejny. Oparty o mur pogrążył się w niewesołych myślach.

— Dobre miejsce dla zrozpaczonych,— szepnął do siebie—dla takich, co nie mają już nic do stracenia i godzina wybrana po temu, raz dwa i koniec... Ha przyjdzie i na to czas, jeszcze trochę upić z tego puharu rozkoszy a potem...

— A jednak ładne to życie i szkoda było tak je haniebnie zmarnować. Ciotka może by mu przebaczyła, ale na takich ciężkich warunkach, że lepiej odrazu skończyć. Nie, stanowczo, nie czuje się na siłach nawet przy pomocy złota żyć przy boku panny Duli, pomimo wszystkich jej zalet. Była jedna tylko jedyna na świecie dla niego, gdyby z nią razem, to choć na trudy i prace, i kochałby ją i czcił jak świętą.

A ona, ta kobieta, dla sławy, marnej sławy odrzuciła go.

A Liana? Ma jej dosyć, taka lalka, próżna i wyrachowana. A przytem głupia, kto wie, czy nawet czyta kiedy. Gdyby dziś stanął przed nią i powiedział — „nie mam ani franka przy duszy“ — wyrzuciła by go bez wahania za drzwi, jak wyrzuca się przedmiot, który stracił swą wartość.

Jerzy drgnął, podniósł kołnierz palta i rzuciwszy przez zęby—szkaradne zimno— ruszył naprzód. Ale wiatr uderzywszy z całą siłą zerwał mu z głowy miękki filcowy kapelusz i pognał z nim nad brzeg morza. Na szczęście schodki prowadzące na wybrzeże były tuż blisko i zbiegłszy szybko dognał jeszcze swą zgubę. Gdy podniósłszy oczy, chciał odnaleźć wejście na ulicę, potknął się prawie o wysoką męską postać,—mężczyzna szepnąwszy „pardon“ chciał się szybko oddalić.

— Zygmunt! to ty, nie wiedziałem, że miewasz takie godziny, w których szukasz łoskotu bałwanów, by zagłuszyć niemi przykre myśli. Nie broń się, to już dola wszystkich ludzi. A prawda, mówili mi w *cerclu*, że zmieniłeś się bardzo. Mało bywasz, podobno nawet nie przyjąłeś zaproszenia na raut u hrabiny Okońskiej. Nie lubisz jej, masz racyę, plotkarka i egoistka, także nie mój typ. Ale zawsze trzeba było się pokazać, baba się obrazi i będzie na tobie język strzępić. Wiem coś, że ma tam z dawnych lat do ciebie urazę. Śmiejesz

się? to dobrze, nie lubię, gdy przybierasz maskę samobójcy.

Wziął przyjaciela pod ramię poufale i rozweselony widokiem znajomej twarzy, z młodzieńczą bezmyślnością zapomniał o troskach dnia, zatopiony cały w rozmowie. Przytem jednak z ukosa obserwował wciąż przyjaciela, wreszcie nie mogąc dłużej powstrzymać się, urwał w pół zdania.

— Zygmuncie, tobie coś jest, przyglądam ci się od chwili i choć mdłe tu światło wydajesz mi się bardzo zmieniony. Czyś chorował? chyba wiedziałbym coś o tem, mówże, przecież dawniej nie miałeś przedemną tajemnic. Mam nadzieję, że nie masz nic ważnego na sercu. Ot, ja mógłbym wiele więcej poddawać się smutkowi, ale ty! Toż człowieku masz wszystko, majątek, zdrowie, cudną żonę...

Zygmunt drgnął, odwrócił twarz, by przyjaciel nie mógł dojrzeć na niej śladów wzruszenia, jakie wywołał wspominając panią Izę. Był to bowiem cichy wyrzut sumienia, ustawiczny ból duszy, któremu nie mógł się opędzić. Rano i wieczór stawało mu przed oczami, smutne spojrzenie żony, w którem malowała się taka bezgraniczna skarga. Tłumił w piersi głuchy jęk i bał się słowem odezwać, by nie zdradzić swej tajemnicy. Jerzy był sprytny, przytem przywiązany do niego, jedno nieoględne odezwanie, a to, co tak długo krył w własnem sercu gotowe stać się jawnem.

(D. c. n.).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Rozruchy kobiece w Rotterdamie.

„Leipziger Neueste Nachrichten" donoszą, że w Rotterdamie dnia 7 b. m. przyszło pod ratuszem do wielkiej demonstracyi kobiet, z racyi niesłychanej drożyzny i braku środków żywności. Policya musiała strzelać do kobiet i zaaresztowała kilkanaście z nich, przyczem podczas śledztwa okazało się, że są to członkowie zarządu związku rewolucyjnego kobiecego. Dopiero o północy w mieście nastał spokój.

Żądania feministek angielskich.

Manifest rozpowszechniany przez związki feministyczne zawiera wymagania następujące: Kobiety uzyskują prawo być wybieranemi do parlamentu; przyjęcie kobiet na członków międzynarodowego kongresu odbudowy; zachowanie obywatelstwa angielskiego kobiet, które poślubiły obcokrajowca; dopuszczenie kobiet do urzędów sędziów i przysięgłych; dopuszczenie kobiet do adwokatury państwowej; jednakowa płaca dla nauczycieli i nauczycielek; wsparcie państwowe dla wdów i dzieci małoletnich; udział związków kobiecych w polityce.

Manifest ten wywołał wielką sensacyę w kołach robotniczych. Henderson wypowiedział się o nim jak następuje: „Gdyby robotnicy, mężczyźni i kobiety szli razem, pozyskalibyśmy wielki wpływ na życie publiczne, brak zjednoczenia między nimi oznacza wielką decentralizacyę ruchu robotniczego. Wzbudza to zawiść pomiędzy obu partyami, co wpływa i na życie polityczne".

Kobiety inżynierami.

W paryskiej technicznej „Ecole centrale" między czterystu laureatami otrzymało tytuł inżyniera sześć kobiet w wieku 20 do 25 lat. Studentki inżynierki przez cały czas nauk odznaczały się pilnością i przedmiot swój studyowały z zamiłowaniem.

Prawo wyborcze a rozwódki.

Wyższe sądowe instancje w Anglii, zajmujące się rozwodami i prawami wyborczemi kobiet, ogłosiły obecnie, że kobiety rozwiedzione tracą prawa wyborcze do parlamentu. Wyrok ten wywołał ogromną konsternacyę wśród kobiet, które do najbliższych wyborów z „Labour Party" postawiły trzy kandydatki rozwódki, a mianowicie Ninę Boyle, Mary Mac Arthur i Philip Snowden, byłą żonę głośnego pacyfisty i polityka.

Kandydatki postanowiły dochodzić swoich praw na drodze sądowej.

Od Warsz. Chrześć. Tow. Ochrony Kobiet (Czackiego № 10) otrzymujemy następującą odezwę:

Siedemnastoletnia Anulka Karpowiczówna, ucz. 6-ej klasy pensyi p. Kowalczykówny, będąc w stanie ciężkiego przygnębienia nerwowego z powodu rozłąki z rodzicami, znajdującemi się podówczas w Rosyi i w zamiarze przedostania się do rodziców, wyszła z pensyi dn. 12 kwietnia 1916 r. i zaginęła bez wieści.

Zrozpaczona matka, dowiedziawszy się o tem nieszczęściu po powrocie do kraju, zwraca się do Wielebnego Duchowieństwa i wszystkich ludzi dobrej woli, którzyby cokolwiek wiedzieli lub słyszeli o losie nieszczęśliwej lub o miejscu jej pobytu, aby zechcieli dać znać matce (Warszawa, Nowogrodzka № 48 m. 6) i dopomódz w odnalezieniu i powrocie zaginionej.

Do najdotkliwszych plag, trapiących obecnie Warszawę, należy niewątpliwie drożyzna obuwia. Jedna z naszych stałych czytelniczek znalazła sposób wielce prosty i praktyczny zarazem robienia obuwia domowemi środkami, bez użycia skóry. Zwłaszcza matki, obarczone licznym drobiazgiem, mogłyby w tym razie zaoszczędzić sporo grosza.

P. Helena Lochmanówna, bibliotekarka w Schronieniu pod wezwaniem Matki Boskiej, ul. Złota № 30, chętnie udzieli informacyi lub też podejmie się w kilku lekcyach nauczyć tego nowego rodzaju szewctwa własnego pomysłu.

Para pantofli damskich z niezbędnemi dodatkami, jako to obcasy, podeszwa i t. d. wynosi od 8 do 15 marek.

Zacnemu sercu naszych Sz. Czytelników polecamy 16-letniego chłopca, któremu dla poratowania zdrowia lekarz zalecił wyjazd na wieś. Chłopiec odpowiedniem zajęciem zarobić może na swe utrzymanie. Adres: Złota 60 m. 21.

TREŚĆ NUMERU:

OGŁOSZENIA.

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.** Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

NASZA POGAWĘDKA.

Sierpień mija, a z nim razem dnie wypoczynku, spędzone bądź to na wsi, bądź na letnisku, czy też w jakiejś kuracyjnej miejscowości, krótkie chwile względnej beztroski, zużytkowane na zbieraniu zapasów sił i zdrowia, tak bardzo nam potrzebnych na ciężką, długą zimę.

Jak zwodniczy sen mija lato, które dało nam ciepło i słońce i znów zmory jesiennej szarugi i zimowych chłodów poczynają nas gnębić. Horoskopy wojenne przedstawiają się beznadziejnie i wróżą nam jeszcze długą drogę, pełną cierni i wybojów. Aby przetrwać, aby doczekać się lepszego jutra!... Ale jak tu czekać gdy chłodno i głodno, gdy bodaj ostatnią parę butów spieniężyć trzeba, aby módz zgromadzić jakiś, choćby najmniejszy zapas żywnościowy.



Szk. 1. Szk. 2. Szk. 3. Szk. 4.

Wszystko to są troski, spadające ciężarem straszliwego niepokoju na uboższą a nawet t. zw. średnio zamożną sferę. Do tego przybywają jeszcze utrapienia i bolesne pytanie, na które trudno znaleźć odpowiedź — w co się ubrać? O, bo dzisiaj rzadko kto pyta się: jak się ubrać? To by przechodziło sferę możliwości. Wyzbyłyśmy się w znacznej mierze, my praktyczne gosposie, kokieteryi i pretensyi, ubieramy się dosłownie w gałganki posztukowane, podobierane w umiejętny sposób — i moda o tyle tylko nas obchodzi, o ile możemy się do niej dostosować.

Ze wskazówek czerpiemy i wybieramy tylko to, co nam jest dogodne, a raczej to, co jest dla nas możliwe — a pokonawszy wrodzoną i zupełnie zrozumiałą chęć podobania się — zapomniawszy o tej sztuce — staramy się nie myśleć o tem, że moda istnieje, że ma swoje wymagania i swoje kaprysy.



№ 1. **Bluzka z haftowanym kołnierzem.** (Szk. 1). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Na jesień moda nie przyniesie zapewne żadnych radykalnych zmian, brak jej na to rozmachu i odwagi — będą jednak różne nowości, których dobre i pożyteczne strony można zawsze wykorzystać, ale na razie wszystko jest jeszcze pokryte wymownem milczeniem.

Wiemy, że sylwetka kobieca będzie nadal prostolinijna—spódniczki niezbyt długie, wązkie, a nawet zwężone ku dołowi, żakiety luźne, proste, dość długie. To są ogólne zarysy — bliższe informacye przyniesie dopiero późniejszy sezon.

Jedynie w modzie kapeluszy dziś już zarysowują się pewne zmiany. Przywykłyśmy od dłuższego czasu do mniejszych i większych kanotjerów z wysoką lub nizką główką. To też postarano się o pewne urozmaicenie na jesienny sezon. Pojawiły się różne modele, których wdzięk i estetykę linii oglądać będziemy niezadługo.

Powrócił znów do mody kapelusz kloszowy w rozmaitych odmianach — i zdaje się, że ten właśnie „klosz" zdobędzie największe powodzenie.

Ponieważ moda męskich strojów nie wprowadza obecnie żadnych większych zmian tak w różnych jej dziedzinach jak i w dziedzinie kapeluszy, więc filc jest względnie mało wyzyskiwany. To też skorzystały z tego zręczne modystki i wprowadziły na zbliżający się jesienny sezon kapelusze filcowe. Będą one noszone nietylko przy kostyumach i ubraniach ulicowych, ale także przy strojach wizytowych, przybrane wtedy aksamitem i piórami.

Po za sztywnemi filcowemi kapeluszami modne będą miękkie — a także z długiego, włochatego filcu. Z tego sporządzane będą miękkie, pełne wdzięku fasony, a na przybranie użyty będzie nikły haft jedwabną lub wełnianą kolorową nitką i małe skrzydełko, zręcznie dobrane.

Jednym z fasonów modnych kapeluszy, który zyska także duże powo-



№ 2. **Suknia domowa w artystycznym stylu.** (Szkic 2). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 3. **Suknia przybrana krzyżykowem wyszyciem.** (Szkic 3). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 4. **Kostyum ze spódnicą prostym krojem, przybrany guziczkami.** (Szkic 4). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.



№ 5. **Bluzka przybrana kolorowem wyszyciem.** (Szkic 5). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

dzenie, dziś już bowiem w przygotowaniach do jesiennego sezonu, zajmuje ważne miejsce—jest oryginalny formą kapelusz z krótkiem, odgiętem na główkę rondem z tyłu, a mocno wydłużonem z przodu. Oczywiście, że odchylenie to i wydłużenie może być najbardziej fantastyczne, a przez to zadowolić może każdy smak i każde wymaganie.

Niektóre z kloszowych form pozbawione są zupełnie ronda z tyłu — jak t. zw. budki.

Jak się obecnie zdaje, miękkie fasony kapeluszy odsuną w cień kapelusze sztywne, prasowane. Te miękko upięte, pełne swobodnego wdzięku formy robią niezmiernie „do twarzy“ — a przytem przez sam sposób upięcia bądź to filcu, bądź aksamitu, czy też innego materyału nie wymagają prawie żadnego przybrania. A jest to także niezmiernie ważna rzecz, bo trzeba sobie uprzytomnić, że obecnie najmniejszy kwiat, nikłe piórko, fantazyjna klamra czy też jaki inny drobiazg — przedstawiają cały majątek — oszczędzać więc trzeba na każdej takiej błahostce, boć skromny kapelusz kosztuje dziś więcej, niż dawniej strojna wizytowa suknia.

Marianne.





Szk. 5. Szk. 10 a. Szk. 10 b. Szk. 11.

Wzory Ubiorów i Robót
do № 33—34.

№ 1. **Bluzka z haftowanym kołnierzem.** (Szkic 1). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Ładną bluzkę z białej materyi przybiera haft wyszyty lila nitką na wyłożonym kołnierzu. Wyłogi przodów, ułożonych w dwie kontrafałdy, wykończone podwójnem obłożeniem. Zapięcie na zatrzaski ozdobione guzikami. Guziki zdobią również dość wysokie mankiety. Spódnica z dwóch części prostym krojem.

Potrzeba: 1.70 metra materyału 110 cent. szerokości.

№ 2. **Suknia domowa w artystycznym stylu.** (Szkic 2). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Suknia domowa luźnym, fantazyjnym krojem w artystycznym stylu, sporządzona jest z miękkiego, wzorzystego materyału. Suknia zmarszczona jest na ramionach, na przodzie i z tyłu oraz na bokach pod szerokiemi, rozwartemi ramionami. Przybranie stanowi duży fantazyjny kołnierz z lila jedwabnej materyi, ozdobiony mereszką, zmarszczkami i t. d.—oryginalnego fasonu.

Potrzeba: $7^1/_2$ metra materyału 50 centymetrów szerokości.

№ 3. **Suknia przybrana krzyżykowem wyszyciem.** (Szkic 3). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Suknię z jasnego, lekkiego materyału zdobi kolorowe, krzyżykowe wyszycie, przybierające boki spódnicy, ułożone w kontrafałdy, a na przodzie i z tyłu ujętej w zmarszczki. Wyszycie to zdobi również przód bluzki rozciętej do wciągania przez głowę i jako szlaczek brzeg kołnierzyka. Ozdobny ścieg wykończa szwy bluzki i przytrzymuje w dole rękawy.

Potrzeba: $5^3/_4$ metra materyału 78 cent. szerokości.



№ 10. **Kostyum ulicowy, odpowiedni dla młodej osoby.** (Szkic 10 a i b). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



№ 11. **Skromna suknia dla starszej osoby.** (Szkic 11). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.



№ 6. **Bluzka przybrana płaskim haftem.** (Szkic 6). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 7. **Bluzka przybr... kolorowem wyszycie...** (Szkic 7). Forma ... zamówienie w adm... Bluszczu.

№ 4. **Kostyum ze spódnicą prostym krojem, przybrany guziczkami.** (Szk. 4). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Kostyum z ciemno-wiśniowego jedwabnego lub wełnianego materyału składa się z prostej, zmarszczonej spódniczki i żakiecika, przybranego na przodzie długiemi patkami, naszytemi guziczkami, takież guziczki zdobią pasek z tyłu. Przód wykończony z podwójnem wyłożeniem. Kołnierz wyłożony, który można podpiąć wysoko.

Potrzeba: $5^1/_4$ metra tafty 100 centymetrów szerokości.



№ 12. **Sukienka w formie bluzy dla dziewczynki od 8—10 lat.** (Szkic 12). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 13. ... czy... (Szki... zamó...







Szk. 8. Szk. 6. Szk. 12.

№ 7. **Bluzka przybrana kolorowem wyszyciem.** (Szkic 7). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Bluzkę z białej materyi zdobi wyszycie w kolorach: zielonym, niebieskim, czerwonym, żółtym i czarnym. Wyszycie to schodzi na przodzie bluzki w rodzaju patek, wykończa kołnierz i rękawy w rodzaju falbanek.

Potrzeba: 2 metry materyału 100 cent. szerokości.

№ 8. **Bluzka oryginalnym krojem, przybrana wyszyciem.** (Szkic 8). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Haft kolorowy i mereszka wykończają bluzkę z okrągłem wycięciem szyi, zmarszczonem na sznurek. Rękawy bez szwu ozdobione motywem z haftu. Takiż haft zdobi wyłożony kołnierz.

Potrzeba: 2¹/₃ metra mater. 78 centymetrów szerokości.

№ 9. **Bluzka z baskiną, ułożona w zakładki i przybrana haftem.** (Szkic 9). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Bluzka z baskiną z białego jedwabnego kreponu ułożona jest w grupę drobnych zakładek z tyłu i z przodu, który zdobi lekki płaski haft. Mereszka zdobi brzeg przodu, kołnierz, wszycie karczka i rękawów. Z przodu na zapięciu mijają się dziurki i guziczki.

Potrzeba: 1.80 metra materyału 110 centymetrów szerokości.

№ 10. **Kostyum ulicowy, odpowiedni dla młodej osoby.** (Szkic 10). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Kamizelka z odrębnego, jaśniejszego materyału, zapięta na szereg okrągłych guziczków, zdobi kostyum z szarej wełny.



№ 9. **Bluzka z baskiną, ułożona w zakładki i przybrana haftem.** (Szkic 9). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Półdługi, prosty, luźny żakiet przecięty jest po bokach i przewleczony lakierowanym paskiem. Żakiet można wykończyć bez kamizelki, można również wykończone podwójnym materyałem wyłogi i odstający kołnierz podpinać wysoko, a wtedy kołnierz należy podtrzymać patką. Zapięcie żakietu powtarza się na boku i w dole spódnicy.

Potrzeba: 4¹/₂ metra materyału 120 cent. szer.

№ 11. **Skromna suknia dla starszej osoby.** (Szk. 11). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Suknia sporządzona jest z materyału czarnego w białe kropki. Materya czarna użyta jest na kołnierz, połączony z wyłogami przodu mereszką na odłożone mankiety i na pasek z tyłu wydłużony w szarfę. Spódnica prosta złożona u góry w fałdy. Wycięcie z przodu wypełnia tiulowa kamizelka.

Potrzeba: 6 metrów materyału 75 cent. szer.

№ 12. **Sukienka w formie bluzy dla dziewczynki od 8—10 lat.** (Szkic 12). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Sukienka w formie bluzy z jasnej wełny przybrana jest kołnierzem i paskiem z szarfą z jedwabnej materyi. Patki schodzące od ramion do połowy rękawów, mankiety i koniec szarfy wyszyte sutaszem.

Potrzeba: 1.80 metra mat. 100 cent. szer.

№ 13. **Palto dla dziewczynki od 7—9 lat.** (Szk. 13). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Paltocik z wełny w dowolnym kolorze przybrany jest stebnówką, która wykończa dół części odciętej w rodzaju baskiny, oraz kołnierz, który można nosić wyłożony lub podpięty do góry.

№ 8. **Bluzka oryginalnym krojem, przybrana wyszyciem.** (Szkic 8). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Bluzka przybrana **...rowem wyszyciem.** ...ic 7). Forma na ...ówienie w admin. Bluszczu.

№ 5. **Bluzka przybrana kolorowem wyszyciem.** (Szkic 5). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Skromną bluzkę bardzo ładnie zdobi kolorowy haft i ozdobny ścieg łączący szwy i wykończający brzeg kołnierzyka, zakończonego sznurem z chwastami. Opis do spódnicy znajduje się przy rycinie 15.

Potrzeba na bluzkę: 2 metry materyału w 100 cent. szerokości.

№ 6. **Bluzka przybrana płaskim haftem.** (Szkic 6). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Bluzkę z materyału w białe i ponsowe paski przybiera wyszycie płaskim ściegiem ponsową nitką. Tworzy ono rodzaj karczka i schodzi na rękawy. Pozatem wyszycie to powtarza się na kołnierzu, wykończonym ściegiem ozdobnym, który przybiera również przód bluzki, szwy i rękawy.

Potrzeba: 2¹/₃ metra materyału 78 cent. szerokości.

№ 14. **Żakiet z jedwabnego trykotu i biała spódnica, przybrana haftem.** (Szkic 14a i b). Forma na zam. w adm. Bluszczu.





...formie **...ynki od** ...c 12). ...wienie ...czu.

№ 13. **Palto dla dziewczynki od 7—9 lat.** (Szkic 13a i b). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.



Szk. 13 a. Szk. 13 b. Szk. 9. Szk. 7.

№ 15. **Kostyum przybrany stebnówką i guzikami, odpowiedni dla młodej osoby.** (Szkic 15a i b). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



Szk. 14 a. Szk. 14 b. Szk. 15 a. Szk. 15 b.

№ 14. Żakiet z jedwabnego trykotu i biała spódnica, przybrana haftem. (Szkic 14). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Każdą letnią, jasną sukienkę ślicznie dopełnić można tak modnym w obecnej porze żakietem z jedwabnego trykotu. Przedstawiony na naszej rycinie trykot w kolorze wiśniowym śliczną stanowi całość z białą haftem przybraną sukienką.

№ 15. Kostyum przybrany stebnówką i guzikami, odpowiedni dla młodej osoby. (Szkic 15). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Kostyum z dowolnego materyału w jasnym kolorze przybrany jest czworokątnemi motywami ze stebnówki, okalającemi dziurki — oraz rzędem guzików, obciągniętych materyałem. Przybranie to zdobi w dole zwrócone ku sobie fałdy spódnicy, ułożonej w pasek w szereg fałd (patrz ryc. 5). Powtarza się ono na dość długiej baskinie żakietu, ułożonej z tyłu w drobne fałdy oraz na pasku, na mankietach i na końcach kołnierza, który można podpiąć do góry.

Potrzeba: 6 metrów materyału 90 cent. szer.

PRZEPISY KUCHENNE.

Koper na zimę. (Sposób II-gi). Do przechowania na zimę, należy wybierać świeży, ładny i zielony koper, poczem obrać zeń drobne, miękkie gałązki, a wszelkie twarde szypułki odrzucić.

Oberwane do użycia gałązki wypłókać czysto w zimnej wodzie i osuszyć na sitach. A kiedy już należycie obeschnie — kłaść je cienkiemi (mniej więcej na 1 centimetr) warstwami do szklanego słoja, przesypując każdą warstwę bardzo miałką solą (najlepiej utłuczoną, lecz w porcelanowym moździerzu, nigdy w metalowym) i jednocześnie upychając palcami, ażeby koper był jak można najszczelniej ułożony.

Słój powinien być hermetycznie zamykany a poprzednio umyty i wysuszony; — po napełnieniu więc słoja należy go zamknąć i umieścić w chłodnem miejscu.

W ten sposób przechowany koper będzie całą zimę jak świeży; zachowa właściwy sobie aromat oraz zieloną barwę.

Szczaw na zimę. (Sposób II-gi). Na ten cel należy wybierać liście szczawiu zielone, młode i miękkie. Szczaw trzeba dobrze i starannie wypłókać, kilka razy zmieniając wodę (ażeby w użyciu nie trzeszczał w nim piasek), poczem osuszyć go należycie na sitach. Gdy dostatecznie obeschnie—zasiekać szczaw jak można najdrobniej i osolić, a trzeba dokładnie z solą wymieszać. Następnie, mając poprzednio przygotowane kompotiery (t. j. wymyte czysto i zupełnie wysuszone) — układać w nie usiekany i osolony szczaw. Szczaw trzeba kłaść bardzo szczelnie, uważając, ażeby nie tworzyły się w nim najmniejsze nawet próżnie wypełnione powietrzem, gdyż wtedy skutkiem tego szczaw byłby niesmaczny.

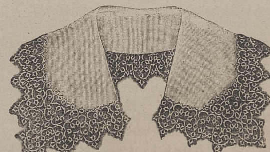
Gdy kompotiera jest już zapełniona, wówczas trzeba zakorkować dokładnie dopasowanym korkiem i umieścić w chodnem miejscu.

W braku kompotier można szczaw kłaść także i w butelki, lecz jest pewna trudność w układaniu go, a potem również przy wyjmowaniu.

Tak w kompotierach jak i w butelkach wystarcza dla dobrej konserwacyi szczawiu tylko samo zakorkowanie, ale wtedy korki muszą być nowe, czyste, nieuszkodzone i dokładnie dopasowane, a w tym celu powinny być wrzącą wodą sparzone.

Podczos (kujawski). Podczos, czyli tak zwana inaczej zielenina, przyrządza się w następujący sposób: bierze się liście z młodej kapusty, można także wziąć trochę liści i z młodej kalarepy, kalafiorów, nieco i z takichże buraków, młodą lebiodę i pokrzywę—ale najwięcej potrzeba użyć liści z kapusty — powinno ich być więcej niż połowa — a jeszcze lepiej, gdy można wziąć same tylko liście kapuściane.

Wszystkie łodygi oraz wszelkie twardsze szypułki trzeba starannie z liści usunąć, wykrawając je umiejętnie nożem a pozostawiając tylko same miękkie części. Wszystkie liście trzeba doskonale wypłókać w zimnej wodzie, kilka razy zmieniając ją, poczem gotować, wrzucając je w obszerny rondel, napełniony wodą. Gdy



№ 16. **Kołnierz dla młodej osoby, przybrany koronką frywolitową.**

liście zmiękną, odcedzić je i drobniutko zesiekać. Poczem zasmażyć łyżkę mąki z kilkoma łyżkami świeżej przetopionej słoniny (podczos powinien być tłusty) i złączyć z usiekanymi liśćmi. Następnie wlać trochę smaku z ugotowanej osobno wędzonki, oraz dodać sporo kaszy grubej jęczmiennej lub grubej gryczanej (tatarczanej), także osobno ugotowanej na gęsto ze słoniną, poczem wszystko razem dobrze wymieszać i poddusić pod pokrywką na niezbyt wielkim ogniu. Podczos jest gotowy, wyłożyć go na okrągły, głęboki półmisek, okładając wokoło pokrajaną zręcznie gorącą wędzonką.



№ 17. **Serweta przybrana angielskim haftem, motywami i koronką robotą frywolitową.** Wzór na zamów. w admin. Bluszczu.

Staropolski miód do picia. (W odpowiedzi p. M. Czaplickiej—z Makowa). Miód ten (podług poniżej podanego przepisu) wykonany w sposób, w jaki nasze prababki go przyrządzały, jest wyborny, lecz dobroć jego jest zależna od długości czasu, przeznaczonego na przechowanie go przed spożyciem. Słynne od wieków nasze staropolskie miody były podawane dopiero wówczas, gdy zewnętrzna powłoka gąsiora, w którym przechowywano ów słodki nektar, była „siwa“, to znaczy omszała, licząc niekiedy sto lat istnienia, a co najmniej pół wieku.

Przepis: Na cztery garnce nieodzownie dobrego miodu wziąć szesnaście garncy miękkiej wody, jedną kwartę chmielu i kilka suszonych skórek z pomarańczy. W mały woreczek (uszyty z białego materyału i bezpośrednio przed samem użyciem czysto uprany, koniecznie bez farbki i krochmalu), kładzie się trochę goździków (ilość podług upodobania), oraz także mały kamyczek (oczywiście czysto poprzednio umyty) dla ciężaru, ażeby nie wypływał na powierzchnię miodu.

Mniej więcej w połowie gotowania miodu, wrzuca się ów woreczek z powyższą zawartością w miód i razem z nim gotuje.

Miód trzeba szumować bezustannie do zupełnej czystości, dopóki tylko szumowiny ukazują się.

Jeśli chcemy przekonać się, czy miód jest dostatecznie ugotowany, probujemy w następujący sposób: rozpalamy w ogniu do czerwoności czysto umyty haczyk żelazny, czyli pogrzebacz, lub coś podobnego z żelaza i kładzie się to w miód; jeżeli żelazo nie zagaśnie, tylko pozostanie czerwone, w takim razie jest to dowód, że miód ma już dosyć gotowania.

Wygotować go można stosownie do woli — połowy płynu lub do trzech czwartych albo też do trzech piątych.

Gdy miód trochę przestygnie t. j. dopóki jest jeszcze letni, wlewa się weń drożdże piwne i następnie to wszystko razem nalewa się w czystą, suchą beczułkę i zostawia się mniej więcej na dziesięć dni miód w spokoju.

Beczułki nie trzeba zakorkowywać, gdyż chodzi o to, ażeby miód należycie przez ten czas „wyrobił się“ t. j. wyrzucił z siebie wszystkie nieczystości i sklarował się zupełnie. Beczułkę należy ustawić na podstawce, żeby miód, burząc się, miał na co spływać.

Po oczyszczeniu się miodu zakorkowuje się lekko beczułkę i zostawia tak długo (mniej więcej przez kilka tygodni), dopóki wszystkie grzęzy na dno nie opadną—wtedy, gdy miód jest już zupełnie czysty, nalewa się go w butelki kompletnie czyste i suche.

Nalewać trzeba przez lejek umieszczony w butelce i wyłożony koniecznie płótnem.

Gdy po pewnym czasie w butelkach na dnie ustoją się jeszcze grzęzy pozostałe w miodzie, wtenczas trzeba znów z wierzchu ostrożnie zlać miód w inne, również czyste i suche butelki, które należy szczelnie zakorkować nowemi, czystemi, sparzonemi ukropem korkami.

Uwaga. Gotując coroczne miód do picia, radzę Sz. Czytelniczkom na wszystkich butelkach ponaklejać karteczki z datą wyrobu miodu, ażeby podług nich brać go do użytku.

H. Ch.

ODPOWIEDZI.

Stałej prenumeratorce ze Zjazdu № 3. Istotnie pająki bywają prawdziwą plagą i bardzo trudno znaleźć na nie niszczący sposób, zwłaszcza dziś, gdy trudno o różne, nawet tak zwykłe środki, jak lep na owady. Najlepszym, zdaje się jedynym sposobem jest rozłożenie w miejscach, gdzie się pająki pojawiają — arkuszy papieru zasmarowanych lepem a w braku tego choćby dobrym, gęstym miodem. Ilość złapanych na miód pająków przekona Szan. Panią o dobroci sposobu. Rozkładanie tych pułapek należy powtarzać przez dni kilka — wyłapią się wszystkie.

Pani St. w Wymyślinie. Nie z każdej materyi plamy usunąć dadzą się domowym sposobem. O ile nie jest to materya w kolorze lila, niebieskim, szafirowym i t. p., to jest o ile jestto materya aczkolwiek jasna, ale w kolorze oporniejszym, trwalszym, plamy tłuste usunąć można przy pomocy mydła i szczoteczki. Należy splamioną materyę równo położyć na czystem podłożeniu i maczając szczoteczkę w ciepłej wodzie z mydłem, plamę delikatnie wycierać aż do zupełnego jej zaniku.

P. Janinie R. Wskazówki przy formach naszych są nader dokładne. Szwy, fałdy, choćby najdrobniejsze, zakładki, nacięcia i t. d. oznaczone są z niechybną, niezawodną dokładnością. Nawet osoba, mająca bardzo słabe pojęcie o kroju, przy pomocy naszych form i wskazówek radzić sobie może doskonale.



№ 18. **Koronka robotą frywolitową do kołnierza ryc. 16 i do serwety ryc. 17.**